NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 472.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX. Kraków, 1 kwietnia 1922. Nr. 13

Ojciec mordercą własnych dzieci



Poszukiwania, prowadzone za zaginionemi dziećmi, dochodzą do miejsca, gdzie natrafiono zwłoki trojga ofiar nieludzkiego ojca, wieśniaka ze Sokołówki pod Lidą.

Ojciec mordercą własnych dzieci

(Do illustracyi tytułowej).

Wierzyć się poprostu nie chce, gdy się czyta lub słyszy, jakich zbrodni dopuszczają się ludzie, deptający brutalnie prawa boskie i ludzkie, byle sobie dogodzić, bez względu na odpowiedzialność i karę, czekającą ich za to. Trudno to sobie wytłómaczyć, że człowiekiem, stworzonym na obraz i podobieństwo Boże, mogą kierować tak niskie instynkty, stawiające go nawet niżej od bezmyślnych zwierząt. Wiemy dobrze z jakiem poświęceniem pielęgnują zwierzęta swe potomstwo, na jakie narażają się niebezpieczeństwa w jego obronie. Tak czyni zwierzę, a zupełnie inaczej postępuje myślący człowiek, dla którego nawet związek krwi nie jest świętym. Mimowoli nasuwa się przypuszczenie, słysząc o zbrodni, jakiej dopuścił się ojciec wobec swych dzieci, lub odwrotnie, że ma się tu chyba do czynienia ze stanem chwilowego zamroczenia umysłu, nie pozwalającego zdać sobie sprawę z następstw popełnionego czynu. W ten sposób tłómaczą się też zbrodniarze wobec sądu, aby ujść ramienia karzącej sprawiedliwości, badania jednak wykazują najczęściej, że o zamroczeniu, wykluczającem karygodność i mowy niema, dochodzenia zaś stwierdzają, że zbrodni dopuszczono się z pełną świadomością i ze z góry powziętym rozmysłem.

O takim zbrodniczym czynie wyrodnego ojca wobec swych trojga nieletnich dzieci doniosły niedawno nasze pisma codzienne.

Pod Lidą, we wsi Sokółka, pewien wdowiec miał się ożenić z panną, która jednak zażądała, aby pozbył się 3 dzieci z pierwszego małżeństwa.

Porozumiawszy się z narzeczoną, wyrodny ojciec nocą wyprowadził dzieci do lasu, przywiązał je do drzewa i pozostawił na mrozie. — Siostra zmarłej żony, zaniepokojona nieobecnością dzieci, uwiadomiła policyę. W czasie poszukiwania znaleziono nieszczęśliwe dzieci martwe. Miały one rączki pocięte sznurem, usta pokrwawione, gdyż usiłowały rozerwać i przegryźć pęta.

Rączka najmłodszego dziecka tkwiła w ustach starszego brata, który widocznie usiłował rozgrzewać dziecko...

Sąd w Lidze skazał potwornego ojca na karę śmierci, zaś jego narzeczoną na ciężkie roboty.



Lwów w dzień Imienin Naczelnika Państwa: Pobudka orkiestry na ulicach miasta.



Lwów w dzień Imienin Naczelnika Państwa: Jeneralicya, korpus oficerski i przedstawiciele władz podczas defilady.



Lwów w dzień Imienin Naczelnika Państwa: Lwowski Korpus Kadetów podczas defilady.

Lwów w dzień Imienin Naczelnika Państwa.

W dniu 19. marca b. r. obchodził Lwów wspólnie z całą Polską uroczystość Imienin Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego, w sposób bardzo podniosły i serdeczny, manifestując ponownie swój polski charakter, którego mu niektórzy starają się odmówić. Te tłumy publiczności, które podążyły do katedry na nabożeństwo, a następnie przyglądały się defiladzie naszych zuchów, skierowała tam nie zwykła tylko ciekawość lub chęć zabicia czasu, lecz głęboko odczute przeświadczenie, że w dniu tym, obchodzonym uroczyście przez całą Polskę, powinny się duchowo łączyć przedstawiciele wszystkich warstw naszego społeczeństwa, bez różnicy zapatrywań politycznych, aby udowodnić, że ożywia nas jeden duch i jedna myśl oraz chęć służenia wspólnemi siłami sprawie odrodzenia naszej Ojczyzny, w tak ciężkich, jak obecne, warunkach. Ci z polityków zagranicznych, którzy naszej kresowej stolicy odmawiają polskiego charakteru, gdyby zechcieli się pofatygować do Lwowa, przy sposobności każdego obchodu narodowego mogliby się przekonać, że jest zupełnie inaczej.

Dzień imienin Naczelnika Państwa obchodzono we Lwowie nadzwyczaj uroczyście. Od godziny 7—8 rano przeciągały ulicami miasta orkiestry załóg lwowskich, przygrywając pobudki. O godzinie 10.30 w kościele katedralnym odbyło się nabożeństwo, celebrowane przez ks. arcybiskupa Bilczewskiego. W nabożeństwie wzięli udział reprezentanci władz cywilnych i wojskowych, członkowie misyi zagranicznych i stowarzyszenia ze sztandarami. Po nabożeństwie jenerał Jędrzejewski udekorował krzyżem Virtuti militari kapitana Kawińskiego z inspektoratu 5 armii. Następnie odbyła się przed pomnikiem Mickiewicza defilada przed jeneralicyą i reprezentantami władz. W defiladzie wzięli udział korpus kadetów, pułki piechoty 19, 40 i 53, 5 pułk artyleryi polowej, 14 pułk ułanów, oddziały policyi konnej i żandarmeryi. Równocześnie na ręce wojewody Grabowskiego składali życzenia dla Naczelnika Państwa reprezentanci władz i instytucyi, delegaci misyi zagranicznych.

Wieczorem w kasynie oficerskiem odbył się uroczysty wieczór. Na program wieczoru złożyły się deklamacye i popisy orkiestry wojskowej, równocześnie odbył się raut na dochód ochronki imienia Józefa Piłsudskiego. Miasto udekorowano chorągwiami.

Siedm lat w niewoli rosyjskiej.

Wobec szczelnie słuchaczami wypełnionej sali Starego Teatru, w sposób żywy i zajmujący, przedstawił w dniu 26 marca b. r. profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Dr. Roman Dyboski, swe wrażenia z siedmiu lat, spędzonych w niewoli w głębi Rosyi i na Syberyi.

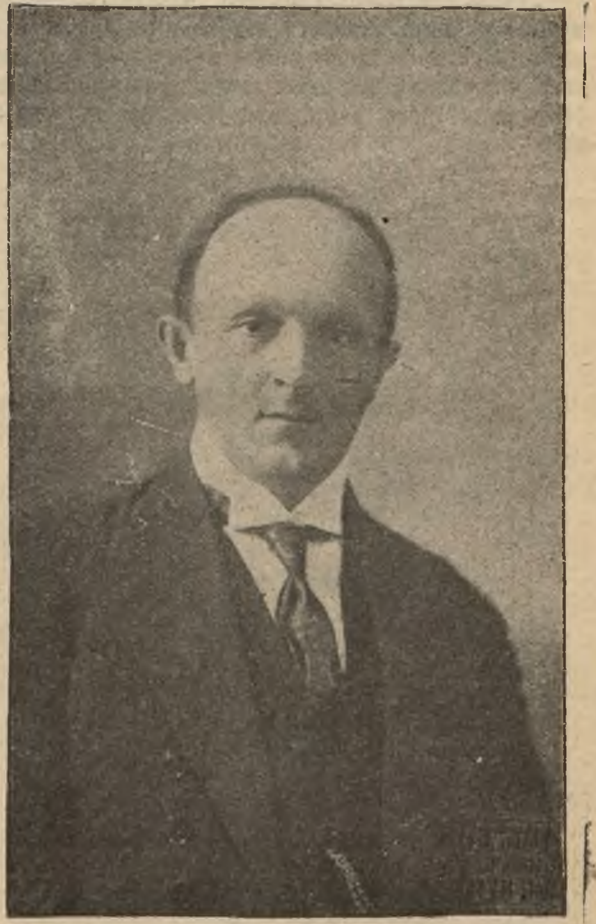
Przez ten okres odbył nasz krakowski uczony prawdziwą odyssey ę po najbardziej zapadłych zakątkach, obozach, więzieniach, którą wobec naszego wysłannika uprzejmie streścił w sposób następujący:

„Dostałem się do niewoli nad rzeką Nidą niedaleko Pińczowa po północnej kampanii jako oficer

16 p. p. obrony krajowej na Boże Narodzenie r. 1914.

Od lutego do września 1915 r. byłem na wolności w Moskwie za osobistą poręką księcia Gagarina, pracowałem naukowo i uczestniczyłem w życiu kolonii polskiej. Od września do grudnia 1915 roku byłem na prowincyi w obozie dla jeńców-Polaków w Rostowie Wielkim (gub. jarosławska). Rok 1916 spędziłem w Kazaniu wraz z innymi znajdującymi się w niewoli profesorami uniwersytetów i politechnik Austryi. Pierwszą połowę roku 1917 spędziłem — za karę za działalność polską w Kazaniu — na warunkach ścisłego odosobnienia w miasteczku Głazowie w gub. wiackiej. Po pierwszej rewolucyi rosyjskiej dzięki staraniom Komisyi Likwidacyjnej p. Lednickiego przeniesiono mnie wprawdzie do Moskwy, ale po dwóch tygodniach wysłano do obozu jeńców do Arzamasu (gub. niżegorodzka), a za dalsze dwa tygodnie stamtąd przez całą Syberyę na Daleki Wschód, do obozu „Krasnaja Rjeczka“ koło Chabarowska nad Amurem. Stamtąd w jesieni r. 1917 dzięki staraniom p. Jadwigi Dziubińskiej, obecnej posłanki do Sejmu Polskiego, uwolniono grupę jeńców Polaków, którzy zamieszkali w Chabarowsku. W ciągu roku, spędzonego na wolności, dwa razy tych jeńców internowali po miesiącu bolszewicy, a raz ich następcy, kozacy. Z pod zarządu rosyjskiego jeńcy już po zawieszeniu broni z Niemcami dostali się pod zarząd wojsk okupacyjnych amerykańskich, a w pół roku później pod zarząd japoński. Ja jeszcze z pod zarządu amerykańskiego zostałem, jak wielu innych Polaków, uwolniony jako ochotnik do wojska polskiego i podążyłem do Syberyi środkowej, gdzie służyłem przez pół roku jako porucznik w Sztabie Dowództwa 5. (syberyjskiej) Dywizyi Wojsk Polskich. Po kapitulacyi Dywizyi w ciągu jej odwrotu na Wschód dostałem się razem z innymi jej oficerami do obozu koncentracyjnego w „Gródku Wojskowym“ koło Krasnojarska, stamtąd w marcu r. 1920 uciekłem i przez rok ukrywałem się we wsi syberyjskiej Tajszet, w pół drogi między Krasnojarskiem a Irkuckiem, pod cudzem nazwiskiem, służąc z musu jako pisarz w sowieckim urzędzie. Przyłapawszy mój list do Polskiego Czerwonego Krzyża w Moskwie, „czerezwyczajka“ krasnojarska aresztowała mnie w marcu roku 1921 i większą część tego roku, już po zawarciu pokoju z Polską, przesiedziałem po więzieniach i obozach robót przymusowych najpierw w Krasnojarsku, potem w Moskwie. Tam 1. listopada 1921, za poręką Polskiego Czerwonego Krzyża, zostałem uwolniony, spędziłem jednakowoż w Moskwie jeszcze blisko ćwierć roku, pracując w Delegacyi repatryacyjnej polskiej, aż wreszcie w styczniu b. r. dzięki usilnym staraniom dra Z. Stefańskiego, obecnego ambasadora polskiego w Moskwie, udało się wyjednać zgodę władz bolszewickich na wydanie Polsce mnie, pułkownika Czumy (dowódcy Dywizyi syberyjskiej) i kilku więzionych razem z nami w Moskwie zakładników i zakładniczek cywilnych.

W pierwszych tygodniach po powrocie do Krakowa zająłem się pisaniem moich wspomnień, które niebawem wydam jako książkę p. t. „Siedm lat w Rosyi i na Syberyi (1915 — 1921). Przygody i wrażenia!“



Siedm lat w niewoli rosyjskiej Prof. Uniw. Jagiel., dr Roman Dyboski

Dramat jugosłowiański na scenie lwowskiej.

Zbliżenie polsko-jugosłowiańskie, zaczyna w ostatnich czasach zyskiwać na sile i rozmachu dzięki ludziom pragnącym stworzyć Ligę kulturalną bratnich narodów słowiańskich, polskiego i serbsko-chorwacko słoweńskiego. Coraz częściej pojawiające się w codziennej prasie polskiej sprawozdania z każdej dziedziny życia jugosłowiańskiego, cały szereg odczytów, zorganizowanych przez Związek Literatów Polskich w Krakowie i Lwowie o współczesnej literaturze południowo słowiańskiej, zorganizowanie sekcyi jugosłowiańskiej przy Zaw. Zw. Literatów Polskich w Krakowie, szereg tłómaczeń z najnowszej literatury pięknej SHS., projektowany wyjazd p. Adwentowicza na artystyczne tournee do Jugosławii, zaproszenie prezesa Krak. Związku Literatów przez Jugosłowiański Związek Literatów na cykl odczytów o współczesnej twórczości literackiej polskiej w Zagrzebiu, Belgradzie, Lublanie, Sarajewie, Splicie, oto wszystko dowody szczerego zainteresowania Polaków bratnim plemieniem SHS, jego dorobkiem kulturalnym i przeszłością.



Dramat jugosłowiański na scenie lwowskiej: Wesele slawońskie, scena z czwartego aktu dramatu J. Kosora „O skibę“. Fot. Münz, Lwów.

Jednym bardzo poważnym krokiem naprzód w przyjacielskich stosunkach Polaków i SHS było pierwsze wystawienie na scenie lwowskiej dramatu jugosłowiańskiego autora, Josipa Kosora, pod tytułem „O skibę“ (Pożar strasti) jakie miało miejsce w dniu 16. marca b. r. Godzi się przy tej sposobności przypomnieć, iż sceny polskie dotąd zaledwie kilka dzieł autorów południowo-słowiańskich wystawiły. W r. 1904 i 1905, widzieliśmy na scenie krakowskiej dramaty: „Dubrownicka trylogia“ i „Pani ze słonecznikiem“ Ivona Vojnovoca. Po latach siedemnastu przerwy wraca znów dramat jugosłowiański na sceny polskie.

„Pożar strasti“ (przekładu dokonał serdeczny przyjaciel Kosora, znany krytyk i literat lwowski, prof. Geszwind) jest najlepszym dramatem tegoż autora, a dzięki swym niepospolitym zaletom, ukazującym żywiołową moc duszy wieśniaka slawońskiego, zdążył w tryumfalnym pochodzie przed i w czasie wojny obejść sceny światowe w Monachium, Dreznie, Mannheimie, Kolonii, Paryżu, Londynie, Petersburgu, Moskwie, a sceny słowiańskie w Czechach i Jugosławii. Obecnie przyszła kolej na Lwów.

Wystawa Teatru Wielkiego była, według sprawozdania korespondenta pism jugosłowiańskich, zakrojona na miarę Reinhardta, ściśle stylowa, według wzorów kopiowanych w miejscowościach gdzie się akcya dramatu rozgrywa. (Wieś Vinkovce w Slawonii). Dyr. Czarnowski nie szczędził kosztów ani pracy, pragnąc bodaj w części spłacić dług, jaki



Dramat jugosłowiański na scenie lwowskiej: Przedstawiciele główniejszych ról w dramacie Kosora „O skibę“: Sierowski (Ilia), Barwiński (Hilary), Justian (Gusza), Szkudelski (Adam). Fot. Münz, Lwów.

zaciągnęła polska sztuka dramatyczna wobec Jugosławii, która zdążyła wystawić dotychczas trzydzieści siedm sztuk autorów polskich. Reżyserya spoczywała w wytrawnych rękach p. H. Barwińskiego, grającego rolę łagodnego Hilarego. Główną rolę, demonicznego Guszę, zagrał koncertowo p. Kaz. Justian a syna jego Adama wybornie p. Szkudelski.

„Życie Teatralne" (pod red. Artura Schroedera) wydało w dzień premiery bardzo piękny tak co do treści jak i co do formy numer poświęcony Kosorowi oraz współczesnemu dramatowi jugosłowiańskiemu, przeważnie pióra południowo-słowiańskich publicystów.



Nowy komendant Policyi Państwowej: Nowomianowany komendant Policyi Państwowej w Polsce, p. Hoszowski, dotychczasowy komendant lwowskiego oddziału żandarmeryi.

Premiera dramatu „O skibę" w Teatrze Wielkim we Lwowie przeobraziła się w potężną manifestacyę przyjaźni polsko-jugosłowiańskiej.

Nowy komendant Policyi Państwowej.

Na stanowisko komendanta Policyi Państwowej, w miejsce p. Henschla, powołany został dotychczasowy komendant lwowskiego oddziału żandarmeryi, p. Hoszowski.

Tak dymisya jednego, jak i nominacya drugiego stoją w związku z zamierzoną reorganizacyą naszej służby bezpieczeństwa publicznego, która, acz nie dawno istniejąca, wykazała już tyle błędów i niedomagań i dała powód do tylu zupełnie uzasadnionych narzekań, że okazała się konieczną jej gruntowna reforma. Organizacya tej służby w naszym kraju, wzorowana na angielskiej, nie odpowiedziała swemu zadaniu, stosunki bezpieczeństwa publicznego pogarszają się z dnia na dzień, potrzeba zatem energicznej i wprawnej ręki, któraby potrafiła tę, tak ważną dla społeczeństwa instytucyę, skierować na właściwe tory.

Z dotychczasowej swojej działalności dał się p. Hoszowski poznać jako nadający się zupełnie do objęcia tego trudnego i odpowiedzialnego posterunku, którego zadaniem jest zapewnienie mieszkańcom kraju życia i mienia, bodajby w tych normach, jak to było za czasów przedwojennych.



Kłopoty indyjskie Anglii: Uwięziony przez Anglików i skazany na sześć lat więzienia przywódca nacyonalistów hinduskich, Gandhi.

Kłopoty indyjskie Anglii.

Na powody wrzenia w Indyach rzuca pewne światło dyskusya nad tą sprawą w angielskiej Izbie Gmin. Jen. Townshond wraz z kilku członkami wniósł poprawkę, która opiewa, że niepokoje i wrzenie w Indyach spowodowało zachowanie się rządu angielskiego w ciągu ostatnich trzech lat. Wnioskodawcy wyrażają nadzieję, że będą wydane bezwzględne zarządzenia w celu przywrócenia powagi prawa, oraz bezpieczeństwa życia i mienia w Indyach. Sekretarz stanu dla Indyi Montagu oświadczył, że położenie w Indyach niepokoi go. W dzisiejszych czasach nie można odosobnić zupełnie pewnego kraju. Mowy prezydenta Filcha, mowy Lloyda George'a, wygłoszone po pogromie Niemiec, dyskusya o Polsce, o Górnym Śląsku i Irlandyi, wywarły i w Indyach swój nieunikniony wpływ. Zaszły wykroczenia, które musiano siłą tłumić. Poza tem podłożem niepokojów w Indyach jest także ogólne położenie gospodarcze na świecie. Ludność Indyi jest biedna, podatki bardzo wysokie i duża drożyzna. Także i stosunek dyplomatyczny Anglii do Francyi, traktat w Sevres, dalsza wojna grecko-turecka, wywarły teraz swój wpływ. Rząd indyjski nigdy nie usiłował dyktować Wielkiej Brytanii jej polityki względem Turcyi, jednakże należy pamiętać o tem, że wojskom indyjskim zawdzięcza się zwycięstwo nad Turcyą, to jest powód, dla którego Hindusi żądają, aby także i ich wysłuchano, gdy idzie o sprawę definitywnego pokoju. Nie bez wpływu na niepokoje są także zamieszki, występujące na całym świecie. Bolszewicy uprawiali propagandę, rozwój przemysłu spowodował zwiększenie się liczby robotników przemysłowych Hindusów. Zarobki robotników nie szły w równem tempie z drożyzną. Hinduskie organizacye robotnicze nie mają jeszcze doświadczenia i skutkiem tego trudno jest łagodzić spory między robotnikami a pracodawcami, jak to ma miejsce w krajach Europy. Pozatem Hindusi rozgoryczeni są traktowaniem ich w innych koloniach angielskich. Minister zakończył stwierdzeniem, że za wszystko to nie jest odpowiedzialny, albowiem objął jedynie odpowiedzialność za utrzymanie porządku i poszanowanie prawa w Indyach. Rząd indyjski nie popiera wcale Gandhiego przywódcy nacyonalistów hinduskich). Jeżeli uwięzienie Gandhiego będzie potrzebnem, to zarządzi się je.

Od chwili tej dyskusyi upłynął zaledwie miesiąc, sytuacya w Indyach nie tylko się nie poprawiła, przeciwnie nawet pogorszyła, co spowodowało wicekróla, lorda Reading, do zastosowania środków represyjnych, między innymi do stawienia Gandhiego przed sądem, który skazał go na sześć lat więzienia i deportacyę, co oczywiście wpłynęło jeszcze bardziej na wzmożenie się ruchu rewolucyjnego wśród Hindusów, między którymi przywódca ich cieszy się ogromną popularnością. W międzyczasie sekretarz stanu dla Indyi, Montagu, otrzymał dymisyę, to samo czeka lorda Reading, jako następstwo za udzielenie gabinetowi londyńskiemu rady, aby wobec Turcyi stosował bardziej umiarkowaną politykę.

Wszystko to razem świadczy, że rząd angielski ma zamiar chwycić się najbezwzględniejszych środków, byle stłumić szerzący się coraz bardziej rewolucyjny ruch wśród Hindusów, żądających bezwarunkowej samodzielności.



Sielanka Lloyd'a George'a: Lloyd George podczas sadzenia ziemniaków.



Sielanka Lloyd'a George'a: L'yod George zajęty kopaniem grządek w swej wiejskiej posiadłości w Walii

Sielanka Lloyda Georgea.

Beatus ille, qui procul negotiis, paterna rura bubus exercet suis.. tak śpiewał ongi rzymski poeta, a zasadom jego są wiłocznie wierni i dzisiejsi wielcy mężowie stanu, szukający, jak się pokazuje, wytchnienia po wytężającej pracy na arenie życia politycznego w zaciszu domowem i w zajęciach gospodarskich, nic wspólnego z polityką nie mających. Poprostu wierzyć się nie chce, patrząc na umieszczone obok illustracye, że tym osobnikiem

RENE BURES.

Zil = X...

Przetłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

— Posłuchaj mnie. Obecny tu, pan Dambleuse wysiądzie z automobilu na dworcu w Varenne, gdzie znajdziemy się za kilkanaście minut. Wsiądzie do nocnego pociągu, odchodzącego o 5 mi. 17 i który spokojnie bez żadnej przeszkody dowiezie go do Paryża. Tam pójdzie do swojego mieszkania i położy się spać bo musi być dosyć zmęczonym. Niech mnie powieszą w tej chwili, jeżeli policya zajmuje się nim i wogóle interesuje się jego osobą.

— Dobrze! Ale my?

— Co do nas, to rzecz jeszcze łatwiejsza. Tym automobilem, który jak widzisz jest doskonałym, dojeżdżamy do Fontainebleau, wysiadamy w lesie gdzie wypalamy na trawie cygara, idziemy na śniadanie do Barbizon. Następnie wracamy do Paryża.

— A jeżeli nas zapytają cośmy robili dzisiejszej nocy?

— Oh! przepraszam cię mój kochany! ja mam kochankę w Fontainebleau i spędziłem noc u niej. To jest sprawa, która nie powinna zajmować policyę, sprawa zupełnie prywatna.

— A ja?

— Ty? Ty także masz kochankę w Fontainebleau. A jeżeli ten zbieg okoliczności uderzy policyę, to tem gorzej dla niej. Może sobie robić przypuszczenia do woli. Dowodów niema żadnych i nie ośmieli się nas atakować.

— A automobil? To przecież dowód jeden.

To już sprawa numeru 42 i szofera. Bądź spokojny. Oni się wygrzebią z tego, bo mają na to sposoby. — A gdyby nawet pochwyceni zostali, o cóż mogą być oskarżeni, powiedz mi? Czy bogatemu cudzoziemcowi nie wolno jeździć dla przyjemności po Francyi? razem ze swoim szoferem? Cóż można im zarzucić?

Byłem tak zmęczonym, że przyjąłem usypiające słowa Daltona z ulnością i zapadłem w pół senne marzenie.

Zbudził mnie głos starego Dambleuse.

— Cała ta wyprawa nie przyniosła nam nic zgoła nowego — odezwał się.

— Tak — odparł sucho Dalton.

— To czas tylko stracony.

— Czy miał pan lepszego coś do zaproponowania?

Stary zamilkł.

— A może jest coś ciekawego dla nas w listach — zauważył numer 42.

— Prawda! Zapomniałem zupełnie o nich. Dawaj prędko! Co to może być u dyabła?!

Ajent wyjął z kieszeni cztery listy i paczkę i podał je Daltonowi.

— Dwudziesty czwarty czerwca, dwudziesty czwarty czerwca — mruczał Dalton, przeglądając kolejno znaczki pocztowe. — To jest przeddzień dnia, w którym kapitan został zamordowany. Dobrze! rozumię! Znalazłeś to w starym płaszczu, powieszonym w kuchni tego przeklętego ogrodnika. Widocznem jest, że jest to ostatnia poczta kapitana de Limandoux. Ogrodnik musiał zapomnieć w ten dzień oddać ją swojemu panu, a musiał po te listy specyalnie chodzić na pocztę. A więc kapitanowi spieszno było listy te otrzymać. Dlaczego jednakże nie zażądał on ich od swojego ogrodnika? I dla jakiej przyczyny ogrodnik nie oddał mu ich tego wieczoru jeszcze?

— Niechże pan otworzy — wyrzekł zdenerwowanym głosem Dambleuse.

— Zaraz... zaraz... Ah! Oto list jakiegoś kupca... bez wartości. Zachowajmy go przecież. A ten drugi. Podpisany: Mopreno... lub też Mapreno... „Mój kochany przyjacielu.

Był to list od kolegi kapitana, w którym pisał tylko o koniach i o garnizonie.

— Bez znaczenia — mruknął Dalton... Ten trzeci... teraz. List stolarza proszącego o załatwienie rachunku. — Przejdźmy dalej... Oh! mój Boże! to coś ciekawego!

— Cóż to jest? — zapytał Dambleuse.

— Ho! ho! to już jest coś ważniejszego. — Słuchajcie!

„Panie! Zgadzam się na dzień jutrzejszy. Ale proszę mieć pieniądze i wszystko załatwione zostanie. Oddany — X.

Oczy starego Dambleuse rozbłysły nagle.

— To jest już ślad pewny!

— Być może — odparł Dalton.

— Skąd jest ten list?

— Z Paryża!

— Słowa są dosyć niejasne.

— Z papieru nic się dowiedzieć nie można — rzekł Dalton — a nie buduje wiele o charakterze pisma. Bo przecież to tak łatwo kazać zastąpić się swojej kochance — a to jest pismo kobiece.

— A paczka?

Dalton przełamał pieczęcie lakowe, na których wyryte były litery T. i L. Znaczek pocztowy pochodził z Rainey. Nerwowymi ruchami Dalton rozwijał paczkę, wydobył w końcu małe pudełko zawierające mały zegarek starannie w watę owinięty. Zegarek był złoty, płaski z monogramem wyrznięłym pośrodku.

Pochyliliśmy się wszyscy nad pudełkiem niemało zaciekawieni.

— To zegarek kobiecy!

— Zegarek staromodny!

— Pochodzi z czasów drugiego cesarstwa!

— Są na nim litery!

— Jakie?

— Litera D. i M.

— Sądzę, że to N. a nie M.

— To jest D. i N. — oświadczył w końcu Dalton na krzyżujące się nasze pytanie. I jest to jest to zegarek kobiecy. Oto wszystko co można o nim powiedzieć. Pochodzi on z czasów drugiego cesarstwa.

— Cóż nam z tego odkrycia — mruknął Dambleuse. — Nie posunęło ono nas w niczem naprzód.

— Czy niema jakiego nazwiska na pudełku? — zapytałem.

— Dalton obejrzał je dokładnie.

— Nie! niema nic. Tak, pan Dambleuse ma słuszność. Ślad to bardzo niepewny. Ale dlaczego, u dyabła, ten purytanin de Limandoux, otrzymał ten zegarek w przeddzień swojej śmierci? Czy niema tu jakiej łączności z faktem dokonanej zbrodni? Ten zegarek należy może do jego babki, lub prababki. — Jednakże...

Machinalnie mówiąc to, Dalton nacisnął sprężynę jednej koperty zegarka i o krzyk zdumienia wyrwał się z jego piersi.

— Patrzcie! patrzcie! — zawołał.

Rzuciliśmy się wszyscy ku niemu.

— Na brzegu złotym koperty, wyrznięta misterne, jakby końcem szpilki, widoczne na pierwszy rzut oka widniały znaki:

„Zil - X... — M. S. — 27.002.

— 27.002! — szepnął Dalton. To cyfra, którą znaleziono w ogniotrwałej kasie senatora Poivrier!

Tajemnicza dziewczynka.

Było to w cztery dni po naszej zuchwałej wyprawie do Boy-sur-Marne. Prowadziliśmy naradę poważną Iggins, Dalton i ja. Iggins oficyalnie, ku mojemu zdziwieniu, poprosił mnie o uczestniczenie w tej naradzie i zdawał się wielką przywiązywać wagę do mojego zdania i uwag.

Przypominam sobie dziś jeszcze dokładnie tę poufną rozmowę, w ciągu której ustanawialiśmy w porządku pierwotnym cały przebieg sprawy senatora Poivrier.

Była godzina dziesiąta wieczór.

Znajdowaliśmy się w mieszkaniu Daltona. Jego służący i mój nieporównany Jakób strzegli drzwi. Byliśmy pewni, że nikt nam nie przeszkodzi i nie przerwie naszej rozmowy. Koło kominka przeprowadzona była serya sznurów, zręcznie umieszczonych i prowadzących do okna, a stamtąd na dach i schody sąsiedniej kamienicy.

Był to nowy wymysł ostrożności Daltona, mogący nam oddać poważną przysługę w razie koniecznej ucieczki, spowodowanej nagłem najściem policyi na mieszkanie.

Od dnia owej nocnej wyprawy byliśmy bowiem ciągle śledzeni. Policya oficyalna musiała być moralnie przekonana, żeśmy byli sprawcami najścia na dom kapitana de Limandoux, lecz sama w sposób tak niezręczny zabiła naszego człowieka przy przejeździe i wahała się, niemając zresztą żadnego dowodu w ręce do wystąpienia przeciw nam na drodze prawnej.

Automobil, którym jechaliśmy znikł w czarodziejski sposób wraz z szoferem, człowiek zaś zastrzelony przez policyę nie został rozpoznanym.

Policya więc uznała za stosowne nie atakować brutalnie Igginsa w warunkach tak niepewnych, czekała tylko sposobności dogodnej. Wiedząc o tem otoczyliśmy się, jak największą ostrożnością. Musieliśmy być na wszystko gotowi w każdej chwili, nawet na niespodziewane zaaresztowanie nas wszystkich razem. W tym czasie więc staraliśmy się jaknajmniej rozłączać i skupiać się w mieszkaniu Daltona.

Widzę jeszcze, siedzących nas wszystkich w jego gabinecie. Żelazne okiennice są zamknięte. Na środku pokoju, na małym stoliczku, stoi lampa przykryta dużym abażurem. Siedzimy wokoło tego stolika, głęboko zasunięci w szerokie, wygodne fotele.

Pomiędzy Daltonem a mną stoi mała etażerka a na niej, trzy szklanki, karafka z wodą i butelka whisky. Obok w puharku kilka długich słomek. Iggins pali małą, krótką fajeczkę, zczerniałą od długiego użycia i dymu. Wydaje się jeszcze więcej silny, barczysty niż zazwyczaj, kwadratowa jego głowa tonie w kłębach dymu. Od czasu do czasu powoli, z namysłem i namaszczeniem nalewa do szklanek whisky. Patrzę i podziwiam, że szkło karafeczki nie rozpłysło się jeszcze w jego potężnych palcach.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, każdy trzymając przyciśniętą do piersi szklankę z odżywczym płynem, wpatrując się w siebie machinalnie i uporczywie.

Chwila ta była bardzo przyjemna, którą chcielibyśmy przedłużyć do nieskończoności, niestety jednak, trzeba było rozpocząć naszą naradę.

— A więc — przemówił pierwszy Iggins wysysając z upodobaniem swoją słomkę — niema nic nowego? Nie postąpiliśmy nic naprzód co do tej małej dziewczynki.

— Tak, tak — mruknął Dalton — ale zanim zagłębimy się w dalsze dociekanie, przypomnijmy sobie szczegóły odkrycia zwłok.

— Dobrze — przytaknął Iggins.

I natychmiast powrócił do swej słomki.

— Oto jak było — mówił Dalton.

— W chwili, w której Jerzy Dambleuse upadł na ziemię zemdlony, wszyscy obecni stali przez dłuższy czas zdumieni, przerażeni ogłupieni patrząc na siebie. Wykrzyknik Jerzego Dambleuse, był tak nieoczekiwany przez nas, nieprawdaż?

Panna de Beaumont zbladła silnie i zmartwiała w nieruchomości absolutnej, patrząc przerażnemi, błędnemi oczami.

Pan Giroux uśmiechał się pod wąsem, choć twarz jego drgała nerwowo. Markas opuścił głowę i wpatrywał się w worek ze zwłokami małej dziewczynki leżący u jego nóg.

Po upływie kilkunastu sekund, panna de Beaumont otrząsnęła się nagle ze swojego odrętwienia, nie wyrzekła jednak słowa, nie pożegnała nikogo, przeszła tylko pomiędzy zwłokami dziewczynki a bezwładnem ciałem narzeczonego, prosto, automatycznie, patrząc uparcie przed siebie — ku drzwiom.

Wówczas ajent pomógł nam podnieść Jerzego Dambleuse, którego położyliśmy w pokoju sąsiednim na kanapie. Markas zaś złożył zwłoki dziewczynki na biurku senatora Poivrier.

Jerzy Dambleuse wkrótce odzyskał przytomność. Pozostawiono go mojej opiece. Kiedy w końcu otworzył oczy spojrzenie jego było martwe. Skorzystałem ze sposobności, bo na chwilę pozostaliśmy sami i rzuciłem mu.

— Pracujemy dla ojca pana i panny de Beaumont. Jeżeli pan posiada jaki dowód lub ślad, proszę nas wtajemniczyć.

Spojrzał raz jeszcze na mnie i nie wyrzekłszy słowa oczy zamknął. Po jakimś czasie mógł już powstać. Miał wygląd człowieka bardzo przybitego i zrezygnowanego na wszystko.

Na wszystkie niedorzeczne zapytania sędziego Giroux nie odpowiedział ani słowem. Bez śladu wzruszenia przeszedł przez gabinet senatora Poivrier i spojrzał na zioki dziewczynki. Zabrano go.

Wzruszenie sędziego Giroux i jego stan podniecenia nerwowego, dozwoliły nam poczynić skonstatowania dokładne, do których może policya oficyalna, działająca na zimno i z równowagą, nie byłaby nas dopuściła.

Przedewszystkiem worek!

Ciało małej dziewczynki zamknięte było w worku z grubego płótna, wąskim i długim, w doskonałym stanie. Płótno było w dobrym gatunku, silne, takie jakie się używa do robienia worków na zboże.

„Obejrzałem dokładnie ten worek. Nie miał na sobie żadnego znaku, żadnej wskazówki. Tylko przy otworze brakowało kawałka równo wyciętego nożyczkami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

10)

Tak, obwiniona o tę straszliwą zbrodnię, zaledwie zdołała uniknąć haniebnej kary powieszenia na szubienicy z powodu młodego bardzo wieku. Oto cały fakt, najdokładniej mi opowiedziany przez Prestona, prawdziwie posiadającego jej miłość, bo nigdy nie zwróciła ona uwagi ani na uwielbienie, jakiem Carter ją otaczał, ani na wybryki miłosne Granta, pierwszego porucznika Niagary.

Córka majętnego irlandzkiego dzierżawcy, Karolina Prior, miała siostrę, nazwaną Mary. Obie siostry uchodziły za najpiękniejsze w całym powiecie. Mary była starszą o pięć lat blisko od Karoliny, ale pomiędzy dwudziestoletnią dziewicą a piętnastoletniem dziewczęciem niema prawie różnicy wieku, w Anglii mniej niż gdziekolwiekbądź indziej. Tylko w chwili, w której zaczyna się nasze opowiadanie, Mary miała w twarzy i charakterze swoim wybitną cechę, którą Karolina przyjęła później od niej. Karolina była wówczas skowronkiem, który śpiewa wiosnę, kwiatem polnym, otwierającym się na słońcu, promieniem słońca, lśniącym w wód błękicie, strumieniem wartko śród łąki płynącym, stworzeniem miłem, pięknem, niewinnem, co musi się podobać koniecznie, nie wiedząc nawet o tem. Mary zaś przeciwnie, była to powaga uosobiona, kochała ona jednak, ale tak tajemnie, tak skrycie, że nikt w całym kantonie nie mógł wiedzieć na pewno, czy James Gordon bywa u Karoliny, czy u Mary Prior. To mniej dziwne jest w Anglii, niżby wam się wydawać mogło. W Anglii miłość, która zbyt wcześnie zagnieżdża się w sercu, ale wiecznie trwa zato, jest ciągłą tajemnicą, trwającą nieraz ośm albo dziesięć lat nieprzerwanie. Wiedzą tam tylko, że młody człowiek, bywający w jakimś domu, zamierza tam wejść w związki małżeńskie. Chociaż zdarza się czasami, że ten młody człowiek zamiast córki, owdowiałą jej matkę poślubi.

Więc jak wam powiedziałem, Mary Prior pokochała z takiem zaufaniem... Ale nie potrzebuję objaśniać wam tego, proces bowiem kryminalny, który z tego powodu miał miejsce, nazbyt może głośną rzecz całą uczynił. Dość wiedzieć, że pewnego dnia, żniwiarze, którzy żęli zboże na polu, stykającem się z gruntem, dzierżawionym przez ojca Prior, znaleźli ukryty pomiędzy kłosami wysoko wyrosłymi trup świeżo narodzonego dziecka. Odkrycie to przestraszyło tych poczciwców, którzy poszli zaraz złożyć zeznanie w najbliższym urzędzie sądowym. Jaka wyborna gratka dla sądownictwa. Lekarze po obejrzeniu ciała zgodzili się na to, że dziecko po narodzeniu się musiało żyć kilka jeszcze godzin, a po stanie zepsucia trupa widnem było, że już od trzech albo czterech miesięcy musiał tak leżeć porzucony pomiędzy zbożem.

Ludzie sądowi są bardzo domyślni, kiedy przybiorą swoją urzędową minę i nos okulbaczą koniecznemi niebieskiemi okularami. Powiat, w którym zbrodnia była popełniona, bardzo był mały, łatwo więc było dowiedzieć się, kogo z młodych ludzi i dziewcząt z powodu miłosnych stosunków można było podejrzywać o ten czyn haniebny. Wiedziano dobrze o staraniach, jakiemi James Gordon rodzinę Prior otaczał. Ale tu zatrzymały się domysły sprawiedliwości; rodzina Prior znana była z swojego przykładnego pożycia; rodzina Gordon toż samo. Attorney, tak się nazywa w Anglii prokurator sądu, Attorney tedy rzekł sam do siebie: właśnie dlatego, że życie ich jest tak przykładne, chcieli, albo też ktokolwiek z ich rodziny chciał ukryć przed światem zbyt jawne ślady występku. Wprawdzie nie chciał nadawać wagi swojemu podejrzeniu, zachował je jednakże sobie; urzędnik sądowy nigdy nie straci zupełnie raz powziętego podejrzenia, ka zał więc pilnować, śledzić prowadzenie się obu sióstr, nic jednak nie zdołano odkryć. James Gordon regularnie codzień jak dawniej odwiedzał rodzinę Prior, która go jak dawniej gościnnie przyjmowała. Zdawało się więc, że wszystkie poszukiwania sądowe ustały już pod tym względem, chociaż to wtenczas właśnie trzeba się mieć najwięcej na baczności przeciw owym poszukiwaniom.

Jesień była już na schyłku; zwyczaj jest w Irlandyi, że kończącą się jesień wiejscy mieszkańcy żegnają balem, żeby przetańczyć pod ostatnim resztkiem cienia, jakie drzewa opadłe z liści dać jeszcze mogą. A bal ów miał właśnie mieć miejsce na tem samem miejscu, gdzie kilka miesięcy temu znaleziono nieżywe ciało dziecka.

Nie można było zresztą wybrać dogodniejszego miejsca do takiej zabawy. Był to kawał pola gładki i miękki, jak dywan najlepiej wysłany, przytykający do rzeki, co okalała go z jednej strony swoim srebrnym pasem w zielone ramki murawy i drzew nadbrzeżnych ujętym, za któremi zdaleka bieliły się małe domki rybackie. Podług zwyczaju wszystkie młode dziewczęta z okolicy zebrały się na tę uroczystość, wszystkie oprócz Karoliny i Mary Prior. Chociaż nikt do tej niebytności dwóch sióstr żadnej nie przywiązywał wagi, była ona jednak zauważona przez prawnika. Łatwo jest domyślić się, iż to naumyślnie z poduszczenia tego sądowego urzędnika, miejsce to było do zabawy owej wiejskiej wybrane, powiedział bowiem on sobie, że jeżeli jest jeszcze w powiecie gdzie kobieta, która popełniła tę zbrodnię dzieciobójstwa, to nie ośmieli się może przyjść na to miejsce, gdzie czyn spełniony został. Więc niebytność sióstr Prior potwierdziła dawne jego podejrzenia. Zdawało się to nieprawdopodobnem, ale ileż nieprawdopodobnych rzeczy dzieje się na świecie. Odwiedził więc rodzinę Prior, wypytując się niby to z dobroduszną troskliwością, jaka przyczyna mogła pozbawić bal wiejski obecności dwóch najlepszych i najpiękniejszych tancerek i Karolina odpowiedziała, iż nie poszła jedynie dla dotrzymania towarzystwa siostrze, która nie chciała wyjść z domu. Ale Mary zagadnięta niespodzianie, zmięszała się, pobladła i nie chciała odpowiadać. Wówczas Attorney wziął na stronę ojca Prior, donosząc mu o swoich podejrzeniach, które się już prawie w pewność zamieniły, że jego córka Mary Prior była winna poszukiwanej przed kilkoma miesiącami zbrodni dzieciobójstwa. Ojciec zaprzeczył, a matka uniosła się gniewem mówiąc, że jej córki są najcnotliwsze pod słońcem; Attorney odpowiedział, że jest tego samego zdania, a naza utrz sprawę oddał pod śledztwo. Częste odwiedziny Jamesa Gordon, niebytność Mary na wielkiej zabawie, pomięszanie jej w odpowiedziach, wszystko to stało się dowodami w oczach sędziów. — Zresztą takie przekonanie moralne wszystkich sąsiadów, którym zależało koniecznie na wynalezieniu sprawczyni tak okrutnej zbrodni, w ich powiecie wydarzonej. Ta sprawa, która stała się nader głośną, tak boleśnie oddziałała na Jamesa Gordon, że właśnie, kiedy miano jego wyznania przesłuchać, dostał gorączki z maligną i umarł po kilku dniach słabości. Wyrok miał być wydany wkrótce i treść jego nie mogła być wątpliwą, bo wszyscy uważali Mary Prior za winną przypisywanego jej dzieciobójstwa. Tymczasem stan rzeczy inny wziął obrót zupełnie, Karolina stanęła przed sądem, uznając się winną zbrodni i twierdząc, że Mary była tylko jej powiernicą. Utrzymywała, że James Gordon był jej kochankiem, a nie jej siostry, że to ona zabiła dziecko i ukryła je potem w zbożu i że cała surowość prawa na nią wymierzona być winna, że Mary, poświęcająca się dla siostry, szlachetna i niewinna Mary, chciała zamiast niej wycierpieć karę, na którą ona jedynie zasłużyła.

Jakże sędziowie mogli nie uwierzyć własnemu zeznaniu Karoliny, któremu nikt nie zaprzeczał. James Gordon już nie żył, a Mary zmuszona była potwierdzić kłamstwo, ułożone w kole rodzinnem, które fan ilię Priorów ocalało od hańbiącej egzekucyi powieszenia, dokonanym na jednym z jej członków. Bo sprawdziło się to, co przewidywano. Sąd, uwzględniając zbytnią młodość Karoliny Prior, złagodził karę powieszenia ne karę deportacyi do Sydney w Australii, karę niewątpliwie straszliwą, haniebna, okropna, ale której hańba zaciera się z czasem, której okropność łagodzi żal szczery, której upodlenie znika powoli, zatarte dobrem prowadzeniem się delikwentki.

Karolina więc Prior została skazaną na deportacyę do Nowej Holandyi, choć to była czysta i niewinna dziewica, tak że jej adwokat sir Levis Preston, który ją wymownie chociaż bezskutecznie bronił przed sądem, przekonany o jej niewinności, pokochał się w niej do tego stopnia, że jakkolwiek majętny i szlachetnego rodu, postanowił udać się za nią przebrany za majtka, aż do tych stron oddalonych, gdzie ją odwożono; poświęcenie się, którego przykłady w romansach tylko napotkać można, a które szczególnem zrządzeniem losu raz jeden sprawdziło się w rzeczywistości.

— Któż mi ją teraz ośmieli się wydrzeć! — zawołał Carter, położywszy szeroką dłoń swoją na ramieniu Karoliny Prior, kiedy okręt ogołocony z oficerów, do nikogo już pod słońcem nie należał. To wyzwanie, które pomimo szumu burzy usłyszeli wszyscy majtkowie, było jak gdyby zuchwałą zaczepką wprost do Prestona wymierzoną. Ale Preston nie potrzebował tego wyzwania, żeby wystąpić do walki ze swoim współzawodnikiem o kobietę, którą pokochał miłością tak czułą, a tak gwałtowną zarazem, że wyrzekł się dla niej ojczyzny, rodziny, położenia w świecie, a nawet może i dobrego imienia.

Carter był piękny w swojej postawie dumnej i wyzywającej, trzymając w żylastej swojej dłoni ramię Karoliny; podobny on był w tej chwili do dzikiego tygrysa cyrku rzymskiego, a ona męczenniczki chrześcijańskiej, która ma się stać ofiarą srogich jego szponów.

Chcieć wydrzeć Karolinę z tego żelaznego objęcia, byłoby to ze strony Prestona szaleństwem bezużytecznem i niebezpiecznem bardzo. Bystry Irlandczyk ani chwili się nie zatrzymał nad tą myślą. Trzeba było jednakże albo uznać się za zwyciężonego wobec całej osady, albo wynaleźć natychmiastowy sposób uwolnienia Karoliny Prior od tego nienawistnego uścisku; wiadro pełne wody słonej stało pod ręką młodego majtka, zanurza więc w niem palce i rzuca pogardliwie kilka kropel tej wody w oczy Carterowi. Każda kropla tej wody, tak w twarz rzucona, była poniżeniem, krwawą zniewagą gorszą od policzka. Opuścić nagle Karolinę Prior, ścisnąć pięście, zapewnić się na nogach i wyrzucić ze ściśnionych gniewem piersi najstraszliwszą obelgę na Prestona, żeby go przymusić do walki, walki na śmierć, było to dla Cartera, uniesionego zgrozą, oburzonego, wściekłego, dziełem jednej chwili. Oczy jego zaiskrzyły się, a twarz pożółkła. Preston przyjął walkę, tę straszliwą angielską walkę na boksy, która kiedy się zam'enia w pojedynek, zawsze krwawą, często śmiertelną bywa. Jego magnetyczne i spokojne wejrzenie spotkało się z dzikim wzrokiem Cartera, a drobne i delikatne kobiece jego ręce ścisnęły się, żeby odeprzeć grożącą mu straszliwą pięść przeciwnika. I osada cała rozdzieliła się na dwie części, stawając po obu stronach pomostu; z jednej strony stronnicy Cartera, z drugiej przyjaciele Prestona, mężczyźni i kobiety, majtkowie i deportowane, przypatrywali się temu ciekawemu dla nich igrzysku. Karolinę posadzono na wielkiej szalupie w samym środku pomostu umieszczonej, a pilnowało ją trzech ludzi ze stronnictwa Cartera i trzech ze stronnictwa Prestona.

To znaczyło się wyraźnie, że Karolina miała się stać łupem zwycięzcy w tej walce, która się rozpocząć miała i aż do tej chwili zostawała ona pod opieką obu stronnictw. Wzięła więc do ręki małą książkę od nabożeństwa, którą zawsze przy sobie nosiła i zaczęła modlić się gorąco.

Pierwszy Carter pięść podniósł; uderzenie wymierzone było do lewego oka Prestona, ale on uniknął go lekkiem nachyleniem głowy, jakby sobie żartował z niebezpieczeństwa.

— Widać, że umie boksować — rzekli majtkowie do siebie — ale to nie pomoże, bo za dwie minuty już po nim będzie.

Carter, nie czekając odwetu, wymierzył drugi raz do prawego oka, ale tak samo bezskutecznie, co spowodowało nawet śmiech pomiędzy majtkami, Carter bowiem uchodził za sławnego boksera i rzadko chybić mu się zdarzało. Pomścił się przekleństwem, które nawet obraziło uszy deportowanych, przyzwyczajonych do tego rodzaju obejścia. Trzecie uderzenie, wymierzone z siłą kamienia wyrzuconego z procy, powinno było zgnieść piersi Prestona. Pięść Cartera ściśniona, twarda, podobna była do kręgu żelaznego. Zdawałoby się, że jedno uderzenie tej pięści biłaby marmurowy roztrzaskać powinno. Ale Irlandczyk schylił się szybko i uderzenie przeszło ponad jego głową, żadnej mu nie zrobiwszy szkody, a Carter, który za bardzo się rzucił naprzód, o mało nie upadł na ziemię i zaledwie niesłychane wysilenie muskularne zdołało go wstrzymać od tego. To ciągłe niepowodzenie do najwyższego stopnia wściekłości posunęło gniew Cartera. Twarz mu cała krwią nabiegła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

— Ale co?! przecieżby zawiadomił...

— Nigdy się tak nie spóźnia... Gdzie on może być?...

— Chyba, że do teatru poszedł!... — wtrąciła Terenia i uderzyła się dłonią w czoło, jakby jej nagle coś na myśl przyszło — Tak! tak! pewnie poszedł do teatru.

— Nie uprzedziwszy nas? — zdziwiła się matka, a Kazia dodała z oburzeniem:

— Bez mnie?!... To byłoby z jego strony poprostu *absorbujące*... Dziwnie *efemeryczne* masz pomysły, moja Tereniu...

— Podlotek przymrużył sprytne oczka trochę złośliwie...

— *Efemeryczne* czy krytyczne — zakpiła sobie Terenia — to wszystko jedno, a ja wam mówię, że on poszedł do teatru... na operetkę... już ja coś wiem...

— Co wiesz?! — wykrzyknęły obie razem, Woźniewiczowa i Kazia.

Terenia zrobiła tajemniczą minkę.

— Wiem! ale nie powiem!... nie powiem!...

— Tereniu! proszę cię, bez niemądrych żartów! — upomniała ją surowo matka — jeśli co wiesz naprawdę, to mów!... a jeżeli nic nie wiesz, to nas nie drażń napróżno!...

— A właśnie że wiem!...

— Po raz trzeci pytam cię: co wiesz?...

— A mamusia czytała dzisiejszego „Kuryerka"?...

— Tak — to jest właściwie przeglądałam tylko, ale co to ma wspólnego ze spóźnieniem się Julka...

— A właśnie że ma... Zaraz mamusi pokażę...

Dziewczę wybiegło do drugiego pokoju i po powróciło z gazetą.

— O! proszę... czytajcie...

— Co takiego?...

— Tutaj... w rubryce teatru notatka „Debiut w operetce".

— Czytajno, Kaziu, bo ja nie mam okularów pod ręką.

— Kazia pochwyciła dziennik i przeczytała głośno kilkuwierszową wzmiankę, zawiadamiającą, że w roli subretki w nowej „sensacyjnej" operetce zadebiutuje p. Stefania Łączkówna.

Woźniewiczowa słuchając zbladła. Kazia mieniła się na twarzy. Zmięła gazetę i z pasyą rzuciła ją na stół.

— Nie rozumiem, jak Terenia może wymyślać podobne głupstwa?! — zasyczała. — Co Julka może to obchodzić, że jakaś tam Łączkówna...

— A mnie się zdaje, że obchodzi !...

— Tereniu! natychmiast masz być cicho i wyjść stąd! — rozkazała Woźniewiczowa głosem tak podniesionym i ostrym, jakim rzadko bardzo przemawiała do swej jedynaczki.

Terenia zmięszała się.

— Ja mamusiu, nie chciałam... tylko...

— Wyjdź!...

Kiedy Terenia ze spuszczoną główką, zawstydzona, prawie ze łzami w oczach opuściła pokój, Woźniewiczowa obróciła się ku Kazi, która stała nieruchomo. Choć twarz dziewczyny miała w tej chwili wyraz nieskończenie daleki od zwykłej cukrowej słodyczy, matka Juliana przygarnęła ją ku sobie i serdecznie pocałowała w czoło.

— To są dziecinne przywidzenia Tereni, którą surowo ukarzę za takie bezsensowne paplanie!...

— Oczywiście!... ja ani przez chwilę nie wierzyłam, żeby to mogło być prawdą... Także coś!...

Obie chciały wierzyć w to, co mówią i obie doskonale wiedziały, że kłamią. Przeczucie szeptało im, że Terenia miała racyę... Kazia dyszała gniewem i zazdrością. Woźniewiczowa drżała trwogą o syna... Nie badały już wskazówek zegara, nie zadawały sobie pytania: „gdzie Julek?... bo odpowiedź miały dzięki wyszukanej przez Terenię wzmianki w gazecie.

Ach! ta Terenia... Gniew obu kobiet zwrócił się ku wścibskiej dziewczynce, jakby to ona była wszystkiemu winną. I kiedy Tereni wpadło do głowy uchylić drzwi i zawołać przekornie:

— Aha! a Julka jeszcze niema!... Nie przyjdzie aż po przedstawieniu!... — czara irytacyi Woźniewiczowej przepełniła się. Wybiegła za swywolnicą do drugiego pokoju. Po krótkiej chwili dał się słyszeć jej podniesiony głos, uderzenia i szlochanie Tereni.

— Dlaczego mnie mama bije?! — co ja temu winna, że Julek ciągle za tą „panterką" lata!...

Kazia zacisnęła pięści!.. Dobrze jej tak tej nieznośnej smarkatej — ach! jakżeby jej chętnie jeszcze dołożyła!...

Woźniewiczowa ukazała się na progu. Blada była i trzęsła się cała. Tego rodzaju sceny w domu Woźniewiczów rozgrywały się nader rzadko. Oddawna nie zdarzyło się, aby matka tak dotkliwie karała swą jedynaczkę. To też ta egzekucya wstrząsnęła nią głęboko. Przemówić nie mogła w pierwszej chwili — ze wzburzenia. Oczy jej skierowały się znowu w stronę zegara. Jakże nieznośnie szybko posuwały się te wskazówki... A Julka niema...

Kobiety spoglądały na siebie w milczeniu — rozumiejąc się bez słów... Łączyła je w tym momencie nić solidarnej nienawiści — przeciwko tamtej...

— Pójdę już — rzekła bezwdzięcznie Kazia — późno się robi!...

— Zostań na kolacyi...

— Dziękuję, nie jestem głodna...

Zaczęła szybko ubierać żakiet. Woźniewiczowa chwyciła ją nagle za rękę.

— Kaziu, pamiętaj, żebyś głupstwa nie zrobiła!...

— Jakiego głupstwa!... o czem mamcia myśli?

— Nie idź ty przypadkiem do teatru!... widzisz moje dziecko, to byłoby niedobrze!...

Mięśnie twarzy dziewczyny drgały. Nakryła powiekami oczy, z których buchał płomień złości...

— Pocóżbym iść miała do teatru? przecież Julka tam niema... z pewnością — podkreśliła z naciskiem — nie poszedłby bezemnie...

Woźniewiczowa zrozumiała, że Kazia do końca chce odegrać komedyę i dziwnie ją to jakoś niemile uderzyło... Tak nie zachowuje się przecież narzeczona, która kocha...

— No tak, tak... ale wiesz co, wolałabym, żebyś jeszcze została...

— Muszę już iść...

W przedpokoju zgrzytnął klucz w zamku.

— Julek idzie!...

Żadna nie ruszyła się z miejsca na jego spotkanie. Czekały aż wejdzie — czekały dość długą chwilę, bo Julek zatrzymał się w przedpokoju — jakby wahając się co ma robić. Kiedy ukazał się wreszcie — twarz miał jak zwykle żółtawo bladą, spokojną, łagodną — nieprzeniknioną. Tylko źrenice błyszczały mu jakoś niesamowicie.

— Dobry wieczór mamusiu!... jak się masz Kaziu!... — pocałował matkę i narzeczoną w ręce chłodnemi ustami, które lekko drżały...

— Spóźniłeś się Julku. Czekamy na ciebie z kolacyą... — rzuciła mu z wyrzutem matka, śledząc równocześnie grę jego rysów. Nic jednak z nich wyczytać nie mogła.

— Tak jest, spóźniłem się — przepraszam — skonstatował krótko, obojętnie i sucho. Widocznie zamierzał przeciąć odrazu dyskusyę na ten temat.

— A gdzież to byłeś? — wycedziła przez zaciśnięte zęby Kazia.

Przesunął po jej twarzy wzrokiem, w którym było bezmiar smutku i znużenia.

Zajęty byłem...

— Czem?

Nie odpowiedział.

— Julku! słyszysz, że Kazia mówi do ciebie...

— Słyszę...

— Więc dlaczego nie odpowiadasz?...

Znowu milczenie. Przyznać się nie mógł, a kłamać nie umiał i nie chciał.

— Julek jak widzę, jest dzisiaj w dziwnie *anachronicznem* usposobieniu... Najlepiej będzie jeżeli pójdę teraz do domu... Chyba mnie odprowadzisz?

— Oczywiście... Służę ci...

Kiedy wychodzili, Woźniewiczowa szepnęła Kazi do ucha

— Pamiętaj, bądź dla niego dobra i wyrozumiała... To najlepsza metoda...

— Ale Kazia była zbyt rozżłoszczona, by mogła zastosować tę najlepszą metodę...

Kiedy Julian, odprowadziwszy narzeczoną, powrócił do domu, matka czekała jeszcze na niego w pokoju jadalnym.

— Mama nie śpi jeszcze? — zapytał.

— Czekam na ciebie z kolacyą...

— Czyś jadł już gdzieindziej kolacyę?

— Nie, tylko nie mam apetytu... Dobranoc mamusi — pochylił się do ręki matki, musnął ją krótkim pocałunkiem i chciał odejść.

— Julku...

— Co mamo? — zatrzymał się.

— Zaczekaj... Chciałabym porozmawiać z tobą.

Przesunął po czole ręką gestem bezmiernego, bolesnego znużenia.

— Czy to coś ważnego? Nie moglibyśmy tej rozmowy odłożyć do jutra? Taki jestem zmęczony i głowa mnie boli...

— Chwilkę tylko, nie będę zatrzymywała cię długo...

Julian zrezygnowany siadł obok matki, nie patrząc jej w oczy.

— Słuchaj, Julku, czas już najwyższy, abym się zapoznała z rodziną Kazi.

Julian drgnął.

— Tak się mamie spieszy? To doprawdy nie dla mamy towarzystwo... To prości ludzie...

Pani Woźniewiczowa westchnęła:

— Ha! trudno — cóż robić... skoro żenisz się z Kazią.

— A tak, żenię się... w głosie jego dźwięczała nuta jakiejś bolesnej ironii.

— Skoro się zaręczyłeś...

— Właściwie to ona zaręczyła się ze mną... — wyrzekł posępnie.

Matka zmarszczyła brwi.

— Przestała ci się podobać Kazia?

Przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

— Właściwie to ona mi się nigdy nie podobała... Mdły typ...

— To źle, że tak mówisz, bardzo źle... Zapóźne refleksye...

— Mama mnie pytała...

— Dziwne to jednak, że to właśnie dzisiaj przychodzą ci do głowy te wątpliwości? — zajrzała mu przenikliwie w oczy.

— Skąd mama wie, że to dopiero dzisiaj?... Wie mama przecież, że nie jestem nazbyt skłonny do zwierzeń...

— O! wiem... ty i teraz ukrywasz coś przedemną!... Julku! — dziecko moje! — chwyciła go za rękę.

— Zdaje się mamie — odwrócił głowę...

— Nie, mnie się nie zdaje!... Julku, żeń się jak najprędzej!... Dajcie w przyszłym tygodniu na zapowiedzi!...

— Co za pośpiech!... — uśmiechnął się smutnie. — Niech się mama nie obawia... ożenię się z Kazią — ożenię... Bo... — urwał nagle.

— Bo tamta mnie i tak nie zechce! — Wybuchnął — teraz wie mama wszystko!... Dobranoc!...

Zerwał się z krzesła i wybiegł.

— Julku!... Julku!...

Woźniewiczowa załamała ręce.

Nie zechce!... a gdyby jednak zechciała!... cóż wówczas?...

— — — — — — — — — — — — —

— Ale wsypa!... no!...

— Takiej teatr chyba nie pamięta!...

— Jak myślicie, zaangażują tę wielką prymadonnę do opery w Paryżu!...

— Albo w Kiaju!...

— A to szopa!... — rechotała „Czarna Walka, zanosząc się od śmiechu.

— Chyba spektakl przerwą, czy co?...

— Ależ *kompremitacya* - dorzuciła jedna z najchudszych chórzystek Staszka Solakówna, która Łączkównie nie mogła wybaczyć jej pięknej figury i toczonych kształtów. Wszystkie zresztą zazdrościły jej urody, strojów, opieki bogatego Bąbla i protekcyi reżysera.

Kiedy Stefa otrzymała pierwszą rolę solową w nowej operetce — złość koleżanek dosięgła punktu kulminacyjnego, to też z bezlitosną uciechą szydziły teraz, kiedy Łączkówna „położyła" swoją rolę bez zastrzeżeń...

Była to istotnie kompromitacya, rzadka w dziejach teatru.. Stefa, która na próbach „markowała" i wymawiała się ciągle to chrypką, to innemi niedomaganiami — na przedstawieniu zrobiła skandal niesłychany. Wchodząc na scenę, miała powiedzieć frazes: „sytuacya staje się coraz bardziej niewyraźną" — ale z powodu tremy tak straciła głowę, że poplątał się jej język i palnęła „sytujajca", co zostało przyjęte na widowni salwą śmiechu i szyderskim chichotem za kulisami. Spostrzegłszy swoją „wsypę", zmieszała się jeszcze więcej, zapomniała doszczętnie roli, w śpiewie dokazywała cudów niemuzykalności, a nawet w tańcu, na który u niej specyalnie liczono, poruszała się ciężko i niezgrabnie... Kiedy zeszła wreszcie ze sceny spocona, drżąca, dysząc ciężko, przywitały ją drwiny i śmiechy:

— Ślicznie!... cudownie!...

— Ani w Ryczywole nie byłoby lepiej!...

(Ciąg Dalszy Nastąpi).

Kronika tygodniowa

Rozśpiewali się nasi poeci mniejszego i większego kalibru na temat zbliżającej się wiosny, witając ją entuzyastycznie, choć co prawda jedynym jej dotychczasowym zwiastunem, było wzmożone krakanie gawronów, prawdopodobnie przygotowujących się do słania sobie gniazd, czyli używając urzędowego wyrażenia obrady gawroniego urzędu mieszkaniowego, mającego z magistratem naszym ustawiczne kłopoty. Gawrony ścielą sobie gniazda na gałęziach drzew miejskich plantacyi, nie płacąc za to magistratowi żadnego czynszu dzierżawnego, a nasze władze miejskie wychodzą ze zasady, że dziś niema nic za darmo, jeśli zaś kto nie chce płacić, aby zasilić kasę miejską, cierpiącą stale na finansową dychawicę, to fora ze dwora. Ale gawrony z rozporządzeń magistratu robią sobie niewiele i gdy im poburzą gniazda w jednem miejscu, niezwłocznie zakładają nowe, nieco dalej.

W każdym razie utwory poetyckie i krakanie gawronie to pewne znaki zbliżającej się wiosny, którą ogół mieszkańców powita bardzo serdecznie, o ile oczywiście będzie ciepła i sucha, mrozy dały się nam bowiem już porządnie we znaki, a deszcz i błoto, ze względu na niedokładności obuwia nie są też pożądane. Gospodarze powiadają wprawdzie, że wiosna powinna być wilgotna, gdyż tego potrzebuje wegetacya, ale dobrze im tak mówić, gdy zrobili dobre interesy na pasku zbożowym i nie dolegają im takie kłopoty, jakie stale trapią mieszczuchów.

Wiosenny nastrój, który zaczął się ujawniać już i w damskich toaletach, coraz bardziej eterycznych, przerwała jednak matka przyroda, która nie czekając na dzień 1 kwietnia, powiedziała nam jeszcze w ubiegłym tygodniu: *„Prima Aprilis“*... i zesłała taką psią pogodę, z wiatrem, mrozem, deszczem i śniegem, że poprostu bał się każdy wystawić nos na świat boży, wychodząc z zasady, że jeśli kapie z dachów, niechaj bodaj z nosa nie kapie, wycieranie go bowiem ręką nie jest zbyt estetyczne, a nie każdy jest dziś w tem miłem położeniu, aby mógł używać chustki. Zrzedła zatem mina naszych poetów, opuściło ich natchnienie i niejeden w sztuczny sposób musiał się starać o rozgrzanie swego serca, co połączone jest także z nielada trudnościami, jeśli się zważy, że za kieliszek najordynarniejszej szpagatówki trzeba zapłacić powyżej stu marek, a jeden nie wystarczy, aby przejść w stan *transu*, usposabiającego do tworzenia arcydzieł, przed któremi w kąt owe wierszyki, jakie niegdyś służyły za dodatek do odpustowych karmelków. Śnieg w marcu nie jest zresztą nowiną, miewaliśmy go nieraz i w kwietniu, w ostatnich dopiero czasach wyrobiło się u nas przeświadczenie, że marzec to już wiosna, maj lato, a w lipcu rozpoczynają się jesienne chłody. Obniżenia temperatury można się było zresztą spodziewać po owych awanturach atmosferycznych, jakich widownią była Zachodnia Europa. Żyjemy z nią obecnie w przyjaźni, słusznem jest zatem i sprawiedliwem, abyśmy dzielili z nią i radości i smutki.

Pospuszczano zatem na kwintę nosy, a usposobienie coraz bardziej wielkopostne, wzmaga się z dnia na dzień w miarę zbliżania się świąt. Zdawało nam się, że czterdzieści kilka dni postu trwać będą niewiedzieć jak długo, tymczasem, spoglądając na kalendarz przekonujemy się, że zaledwie dwa tygodnie dzielą nas od Wielkanocy, że zatem wielki post kończy się prędzej nawet, niż karnawał. Bardzo wielu jest takich między nami, którzy dotąd śledzia nie tylko nie jedli, ale nawet nie widzieli, a tutaj trzeba już myśleć o szynce i kiełbasie. Kto zatem zapobiegliwy, ten zawczasu stara się o owe specyały, a piękny przykład starania się zawczasu o to, o co później będzie czem raz trudniej, dał ów wiejski kundys, który, jak donosi *Kuryerek*, ukradł w masarni Sataleckiego kiełbasę polędwicową, czem obudził gwałtowną zazdrość swych miejskich kolegów, przyczyniając się w ten sposób do wywołania zbiegowiska w ulicy Floryańskiej i to tak licznego, iż na jakiś czas wstrzymany został ruch tramwajowy. Dysputowano na temat zbliżających się świąt i podziwiano bystrość owego wiejskiego Kundysa, wiedzącego widać dobrze, w co się obecnie należy zaopatrzyć.

— Niby to zwierz — mówiła kumoska jedna do drugiej — a przecież wie, czego dziś człowiekowi najbardziej potrzeba...

— Tak, tak, moja pani! — dodała druga, kiwając poważnie głową — Ale to wiejski kundel, a te, wiadomo, mają dziś w Polsce więcej rozumu, niż miejskie...

Miesiąc kwiecień rozpoczyna się już w sobotę tradycyjnem *„Prima Aprilis“*, które dawniej wyróżniało ten dzień między innymi w roku. Rok cały mówili ludzie prawdę, w dniu 1. kwietnia zwodzili się zaś i brali wzajemnie na kawał, lecz nieszkodliwie. Obecnie sytuacya się zmieniła, wzajemne obsigiwanie się w najordynarniejszy sposób i to ze szkodą innych, ma miejsce rok cały, wobec tego też stracił i pierwszy kwiecień swój urok.

I nie wspominaliśmy może nawet o nim, gdyby nie okoliczność, że jest to także i zmiana kwartału oraz termin zwykły płacenia czynszu mieszkalnego. W Warszawie skończyła swe obrady Komisya mieszkaniowa, która zastanawiała się nad ochroną kamieniczników, doprowadzonych do czarnej melancholii przez ustawy chroniące dotąd lokatorów i nie pozwalające na zbyt gwałtowne darcie z nich skóry. Przyznać trzeba, że kamienicznicy byli dotąd nieco pokrzywdzeni, norma bowiem, jaką ustalono dla czynszów mieszkalnych, nie stała w żadnym stosunku do ogólnej drożyzny, choć przez wprowadzenie postanowień o tak zwanych „Dodatkowych świadczeniach“, dano im sposobność powiększenia swych dochodów z realności.

Słyszało się ciągle narzekania na garbaty los, każdy z nich głośno przeklinał godzinę, w którą się urodził kamienicznikiem, odgrażając się, że chętnie daruje swą realność każdemu, byle się raz pozbyć kłopotu. Oczywiście, żaden z nich nie myślał o tem seryo, nie wydarzył się też ani jeden podobny wypadek, przeciwnie, każdy kamienicznik poddawał się losowi, bez widocznego szwanku na zdrowiu, znosił jakoś te kłopoty, pocieszając się, że mu to kiedyś będzie policzone. Rzecz prosta, nie myślał bynajmniej o życiu przyszłem, lecz o doczesnem, a że wnioskował zupełnie logicznie, przekonujemy się dziś, czytając uchwały owej Komisyi mieszkaniowej, które otrą łzy z oczu kamieniczników, ale napędzą je pod powieki wynajmujących mieszkanie. Lokatorzy dziś już zaczynają śpiewać „gorzkie żale“ z tego powodu, a niejeden z nich boi się wziąść ołówek do ręki, aby się przekonać, ile też będzie wynosić jego przedwojenny czynsz miesięczny za mieszkanie, podwyższony naprzykład pięćdziesiątkrotnie. Na samo wspomnienie robi mu się już dzisiaj gorąco, jeśli bowiem jest urzędnikiem i nie uzyska odpowiedniej podwyżki swych poborów, trzeba będzie, chcąc mieć bodaj dziurawy dach nad głową, zrzec się conajmniej połowy obiadów w miesiącu, a o sprawieniu sobie lub rodzinie czegoś do okrycia cielesnej powłoki, nawet mowy być nie może. Wogóle nowa ustawa zabezpiecza przedewszystkiem interesy kamienicznika, co zresztą łatwem jest do zrozumienia, jeśli się zważy, że ci, którzy ją uchwalali, są sami kamienicznikami, lub spodziewają się zostać nimi w najbliższym czasie, bo pobyt w Warszawie u wielkiego ołtarza robi dobrze, nie tyle może ze względu na zdrowie, ile na kieszeń. Otucha wstępuje zatem w serca kamieniczników i powoli zaczynają się odzwyczajać od narzekania na ciężki los, jaki ich w ostatnich latach niewinnie prześladuje.

Odetchnęli zatem kamienicznicy, z serca spadł im kamień i to już drugi z rzędu. Pierwszego pozbyli się lekko, bez użycia pomocy lekarskiej, gdy im przyznano tak zwane dodatkowe świadczenia. Wobec tego przestali na Polskę narzekać i dochodzą do przekonania, że jest ona krajem praworządnym i że się ostatecznie opłaci być w niej właścicielem nieruchomości.

Ale słusznie powiadają, że „Jaś się śmieje, a Małgosia płacze“. Gdy wprowadzono ustawę o ochronie lokatorów, a było to jeszcze za czasów ś. p. Austryi, Jasiem byli lokatorzy, obecnie zmieniają się w Małgosię, a ich miejsce zajmują kamienicznicy. Z chwilą, gdy ustawa o czynszach wejdzie w życie, los wszystkich tych, którzy żyją ze stałych miesięcznych dochodów, przedewszystkiem więc urzędników stanie się nie do pozazdroszczenia i, skoro dziś narzekają na biedę, kłopoty ich finansowe zwiększą się jeszcze bardziej i trzeba będzie pomyśleć o pospieszeniu im z pomocą. Pomoc ta musi być wydatniejszą niż dotychczasowe, nie wystarczy podwyższenie mnożnika lub przyznanie trzynastej pensyi miesięcznej, na którą każe się zwykle czekać do grudnia. Z kół interesowanych otrzymujemy informacye, że trzynasta pensya, aby ją można było odczuć, musiałoby się powtórzyć przynajmniej pięć razy w roku, to jest w karnawale, przed Wielkanocą, w okresie wakacyjnym (bo i cóż wart urlop, gdy w kieszeni pustki), w jesieni, na zaopatrzenie się przed zimą, i w grudniu, aby módz urządzić wilię i wesoło skończyć stary rok. Rzemieślnicy, kupcy i przemysłowcy niewiele robią sobie z podwyższenia czynszów mieszkalnych, odpowiednio bowiem do ich spodziewanej wysokości kalkulują swe ceny, zatem nadwyżkę płacą nie oni, lecz ich odbiorca, biorący w ten sposób podwójne cięgi, nie dość bowiem, że sam ma większe wydatki na komorne, spotyka się z podrożeniem wszystkich najniezbędniejszych do życia artykułów. Słuszny więc powód, aby korzystając z wielkopostnego okresu, śpiewał „gorzkie żale“.

Wiadomość o nowej ustawie mieszkaniowej była dla nas, nie posiadających kamienic, niezbyt przyjemnem *„Prima Aprilis“* i to jeszcze w marcu. Zastosować się do nowego zarządzenia musi każdy, choć bowiem zbliżają się cieplejsze czasy, trudno obejść się bez dachu nad głową.

Z wewnętrznej polityki naszej z ubiegłego tygodnia zanotować należy przedewszystkiem, że uniknęliśmy szczęśliwie nowego przesilenia gabinetowego, jakie groziło z racyi sprawy wileńskiej, która jednak załatwiona została wreszcie w myśl intencyi rządowych. Ściąganie daniny odbywa się w sposób zupełnie normalny, nie odbiło się jednak na kursie marki polskiej, która, nie tylko nie poszła w górę, ale owszem spadła. Przednowek zapowiada się zatem wcale nie różowo, a przedsmak jego mieliśmy w ubiegłym tygodniu w piątek, gdy nagle zabrakło w Krakowie mięsa, wobec czego przelicytowano się przy jego nabywaniu, aby się przecież zaopatrzyć na dwa dni świąt, to jest na sobotę i niedzielę. Coś podobnego powtarzać się będzie częściej, przedewszystkiem z okazyi zbliżających się świąt. Ludzie stracili obecnie najzupełniej poczucie wartości pieniędzy i powiadają sobie „niech kosztuje, co chce, ale musi być...“, a trzeba przyznać, iż takich, mogących w ten sposób powiedzieć jest bardzo wielu, głównie zaś wśród pracujących fizycznie, gdy natomiast pracujący umysłowo obchodzić się muszą przeważnie smakiem, wspomnieniami przeszłości i nadzieją, że kiedyś będzie lepiej, ale kiedy, tego nie wie nawet Lloyd George, ani konferencya genueńska, mająca się rozpocząć stanowczo w dniu 10. kwietnia.

Aby się dowiedzieć z najpewniejszych ust, jak rzeczy stoją, zdecydował się kronikarz na wybranie się do Genui, gdzie liczy na miłe przyjęcie, zwłaszcza, że włoskim ministrem spraw zagranicznych jest podobno nasz krajan, rodem z Brodów. Narazie odbywają się wszędzie narady rzeczoznawców, obmyślających wytyczne, jakiemi mają się kierować na miejscu, to jest w Genui, na obradujących tamże Duch św. nie potrzebuje zatem zstępować, przybędą bowiem należycie oświeceni. Radzi się w Paryżu i Londynie, radziło się w Warszawie i Belgradzie, chciano radzić w Rydze, z czego się pokazuje, że obecnie najwięcej jest na świecie radców, choć dawni, tak zwani „cesarscy“, przeszli już do historyi.

Spodziewa się też kronikarz, że z okazyi zjazdu genueńskiego nie ominie go tamże święcone, urządzone dla uczestników, w Krakowie zaś nie mógłby na nie liczyć, nie mając bliższych stosunków z lichwiarzami i paskarzami.

Czy się nie zawiedzie i czy mu w środku kwietnia nie urządzą *„Prima Aprilis“*, to się dopiero pokaże, w każdym razie nadzieją żyje i żywi nadzieję, gdyż nie jest to połączone z żadnymi wydatkami.

Weronika zdecydowała się pozostać w Krakowie z obawy przed wybuchem Wezuwiusza, który wprawdzie daleko od Genui, ale w czasach obecnych niespodzianek może się dać we znaki nawet północnym Włochom. Bajkę o jego wybuchu wymyślili podobno uczestnicy zjazdu, aby żony swe zatrzymać w domu.

Nie jest jednak wykluczone, że konferencya w Genui zostanie odłożoną, nie tyle z powodu wstrzymania się od udziału w niej Ameryki i wahania się Francyi, ile raczej ze strachu przed owym żarłocznym wężem z Afryki południowej, tak lubiącym cielęcinę. Podobno gdzieś zniknął, a cóż łatwiejszego dla takiej bestyi, jak przepłynąć morze Śródziemne, wylądować w Genui i pożreć członków konferencyi wraz z Lloyd'em George'm na czele.

Kto zjadł sto cieląt, po tym można się wszystkiego spodziewać!

okopującym grządki i sadzącym ziemniaki, nie jest nikt inny, jak Lloyd George, prezydent gabinetu angielskiego i, śmiało można powiedzieć, dyktator współczesnego świata, kierujący wedle swego widzimisię jego polityką. Tutaj, we Walii, w rodzinnej swej miejscowości, Lloyd George przedstawia się nam w zupełnie innem świetle, niż w Londynie. Tutaj sprawy polityczne nie zajmują go zupełnie, największą zaś przyjemność sprawia mu gospodarstwo, któremu oddaje się też z całym zapałem, nie wstydząc się chwycić w ręce rydel lub grabie, a jak się pokazuje, włada niemi równie sprawnie, jak piórem.

Wogóle wielcy politycy zagraniczni i mężowie stanu o światowym pokroju, różnią się zupełnie od naszych, którzy chcieliby ich może naśladować, ale przychodzi im to z trudnością. Starają się oni wprawdzie o to, aby się otoczyć aureolą wielkości, jest ona jednak wytworzona sztucznie, ginie też za pierwszym wiatru podmuchem. Nie wyobrażamy sobie, aby nasz polityk, mający pretensyę do uchodzenia za wielkiego, zdobył się na tyle odwagi i samozaparcia się, by się oddać tak prozaicznej pracy, jak sadzenie ziemniaków, a do tego pozwolił się jeszcze przy tem zajęciu fotografować. A jednak znaczeniu i powadze Lloyda George bynajmniej to nie szkodzi, owszem każdy to podnosi z uznaniem, że po trafi znaleźć tyle czasu, aby go spędzić na tak pożytecznej i przyjemnej rozrywce, jaką jest praca na wolnem powietrzu na kawałku własnej ziemi. Dodać należy, że Lloyd George oddaje się też z zamiłowaniem niektórym gałęziom sportu, między innemi nie zapomina codziennie o swej partyi golfa, którego jest namiętnym zwolennikiem.

Niedawno podaliśmy ilustracyę, przedstawiającą sędziwego i korpulentnego amerykańskiego podsekretarza stanu Davisa, jako uczestnika w biegu pieszym podczas wyścigów, zupełnie odpowiedniem *pendant* do niego jest Lloyd George, zajęty sadzeniem ziemniaków, choć nie jest z zawodu rolnikiem, lecz adwokatem.

Tragedya na szczycie Saentis

Obserwatoryum meteorologiczne na szczycie góry Saentis w Szwajcaryi, ponad 2500 metrów nad poziom morza, było w ostatnich dniach lutego widownią ohydnego mordu rabunkowego, dokonanego na osobach jedynych tamtejszych mieszkańców, małżonków Haas. Tu w samotni alpejskiej żyli małżonkowie, on trzydziestoletni uczony, funkcyonaryusz stacyi meteorologicznej, przebywał tu celem obserwacyi naukowych. Ona, młodsza o lat kilka, zostawiła u stóp góry, w dolinie Brülisau, dwoje małych dzieci, które tylko podczas krótkiego lata widywać mogła, resztę bowiem roku przepędzała z mężem. Gdyby nie telefon i telegraf, małżonkowie nie wiedzieliby tygodniami, co się dzieje na świecie, bo tylko co kilkanaście dni przynoszono im ze wsi żywność i wiadomości.

Przed tygodniem nagle telegraf i telefon, łączący Saentis z wioską Wasserau, przestał funkcyonować, zaniepokojony więc przewodnik Rusch, wybrał się z synem na szczyt, aby zbadać przyczynę, z powodu jednak silnego wichru i zasp śnieżnych, musieli tego samego dnia zawrócić z drogi. Po kilku dniach dopiero, zdjęci strasznem przeczuciem, górale założyli narty i wśród mgły i śnieżycy dostali się na szczyt.

Gdy weszli do izby, ujrzeli Haasową leżącą na podłodze w kałuży krwi, zabitą strzałem, wymierzonym w tył głowy; o kilka zaś metrów opodal chaty znaleźli uczonego, zamordowanego w ten sam sposób. Brak było kasy z pieniądzmi, księgi gości, srebrnych ozdób z szwajcarskiego stroju kobiecego, zegarka i bundy uczonego. Jedyna żywa istota, pies, uwięziony na sznurze, skomlał wygłodzony.

W najwyższem przerażeniu spuścili się górale w dół, aby we wsi straszny ten wypadek obwieścić.

Tu ani na chwilę nie miano wątpliwości co do osoby zbrodniarza. Haas już poprzednio skarżył się na natrętnego i podejrzanego gościa, który ich nawiedzał w Saentis. Był nim jakiś w Szwajcaryi naturalizowany Tyrolczyk, bezdomny włóczęga, który dla kilku franków, więcej kasa uczonego nie zawierała, zabił małżonków i poprzecinał druty telegraficzne. Pochwycono go z łatwością, zidyociały bowiem zbrodniarz nie był nawet zdolnym do ucieczki, wiedząc zaś, co go czeka, we wschodniej bowiem Szwajcaryi istnieje kara śmierci, uprzedził rękę sprawiedliwości i powiesił się w więzieniu.



Tragedya na szczycie Saentis: Obserwatoryum meteorologiczne, siedziba małżonków Haas.

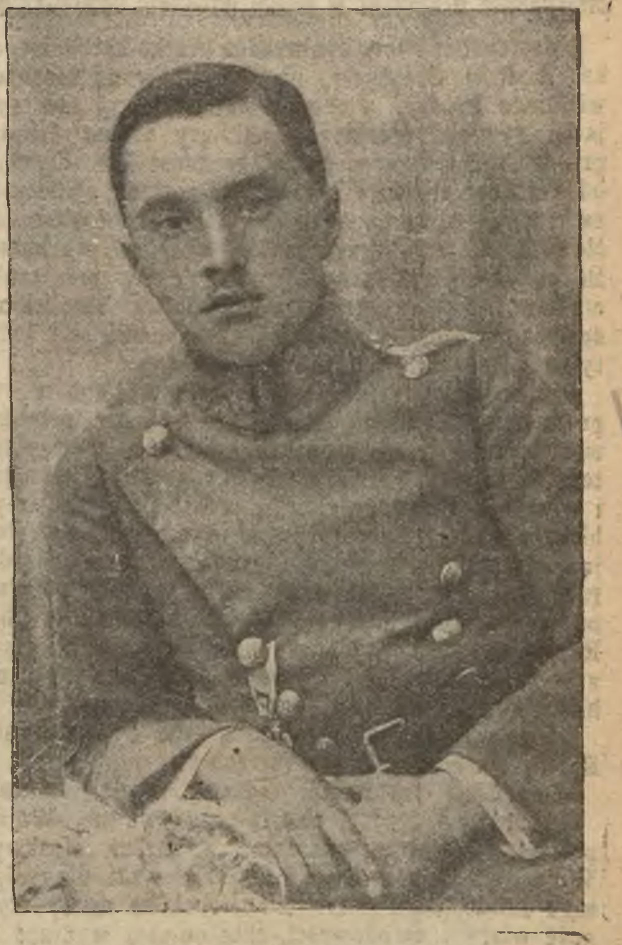


Tragedya na szczycie Saentis: Małżonkowie Haas zajęci rąbaniem drzewa na opał.

Nad grobem utalentowanego żołnierza-poety.

W ubiegły piątek przeciągał ulicami naszego miasta manifestacyjny pogrzeb ś. p. podporucznika Romana Eminowicza, zmarłego z ran odniesionych w walce o kresy wschodnie w listopadzie 1920 r. W niedzielę odbyła się w gmachu Uniwersytetu Jagiellońskiego uroczysta Akademia dla uczczenia literackich jego zasług.

S. p. Roman Eminowicz (syn dra Wincentego, starszego radcy Magistratu i Heleny z Zoppothów, urodził się w r. 1900. Szkoły średnie ukończył w Krakowie, a w r. 1917 wstąpił do Legionów. I odtąd życie Jego było jednem pasmem walk i trudów w służbie Ojczyzny. Legiony, niewola huszteńska, odsiecz Lwowa, służba w pancernym pociągu „Śmiały“, front litewsko-białoruski i oswobodzenie Wilna, oto etapy tej niestrudzonej żołnierki. Za czyn szalonej, heroicznej wprost odwagi przedstawiony do orderu „Virtuti militari“, otrzymał go dopiero po śmierci, piersi zaś Jego zdobił „Krzyż Walecznych“ i szereg innych odznaczeń. Drugą kartą Jego krótkiego, a tak bogatego w treść życia była praca na polu literackiej twórczości. Rok 1919/20, rok Jego studyów uniwersyteckich był okresem gwałtownego rozwoju tego potężnego talentu poetyckiego, (pisał pod pseud. J. Fersten). W roku tym rozwinął on także niezmiernie intenzywną działalność na polu organizacyjnem, skupiając młode talenty, i urządzając szereg literackich wieczorów. W lecie 1920 r. na pierwszy apel zagrożonej Ojczyzny ciężko podążył w szeregi i po krwawych trudach wojennych ciężko ranny na froncie zmarł w szpitalu w Zamościu.



Nad grobem utalentowanego żołnierza-poety: Ś. p. Roman Radogost Dołęga Eminowicz (pseud. lit. J. Fersten).

Schodzi z Nim do grobu niestrudzony pracownik

i żołnierz, umysł niepospolitej głębi i talent poetycki tak potężny i zadziwiający, że strata jego jest niepowetowanym ciosem dla literatury.

Zwłoki Zmarłego przewieziono obecnie do Krakowa, celem złożenia ich w grobowcu rodzinnym.

Metropolita Szeptycki w swem własnem oświetleniu.

Metropolita lwowski obrządku grecko-katolickiego ks. Andrzej Szeptycki, po kądzieli wnuk naszego wielkiego Fredry, a obecnie najzawziętszy nieprzyjaciel żywiołu polskiego, usiłujący wobec świata przedstawić krzywdy, jakich rzekomo Ruś doznaje od Polaków znajduje zbyt często posłuch, zwłaszcza za granicą, gdzie wierzą jego gładkim, choć ułudnym słowom. Obecnie stara się metropolita przekonać Rzym, iż się mu uda doprowadzić do połączenia cerkiew prawosławną z Kościołem katolickim, spodziewając się, że przy tej sposobności nikt inny tylko on zostanie patryarchą Wschodu.

Rzymskim przyjaciołom, wierzącym ślepo w zapewnienia ks. Szeptyckiego, otworzą się przecież może oczy, gdy się zapoznają z treścą dwu pism tego dostojnika, pochodzących z roku 1914, sierpnia i września. Pierwszy z nich, to list pasterski arcybiskupa lwowskiego do swych dyecezyan, nawołujący do walki z Moskalami, jako z wrogami narodu ruskiego, drugie datowane kilka tygodni później, po wywiezieniu metropolity przez Moskali w głąb Rosyi, to wiernopoddańczy list do cara Mikołaja z wyrażeniem radości z powodu połączenia się ziemi halickiej z Rosyą i ofiarowaniem swych usług.

Pisma te znaleziono w archiwum Departamentu Spraw Duchownych w Petersburgu.

W liście pasterskim czytamy między innemi: „Poważna, drodzy, chwila rozgrywa się. Wojna pomiędzy cesarzem naszym, a carem Moskwy. Wojnę wiodą o nas, bo car moskiewski nie mógł tego znieść, iż w państwie austryackiem mamy wolność wiary i narodowości, chce on nam wydrzeć tę wolność wiary i zakuć w kajdany.

Wróg rozrzuca w kraju pismo fałszywe w którem, nadużywając tekstów świętych i modlitw, heretyk, udający mnicha, ma odwagę Imieniem Boskiem zwalniać ludzi naszych od przysięgi na wierność cesarzowi naszemu. Skąd on ma na to prawo? Jakiż to fałsz bezczelny i świętokradztwo — przypisywać sobie prawa boże?! Takie świętokradztwo złośliwe tylko wściekły wróg może podsuwać narodowi naszemu. Przysięga na wierność święcie obowiązuje z woli prawa Bożego.

...W ogniu tej strasznej wojny wykuje się dola nasza krasna. Z woli Boga jesteśmy złączeni z państwowością austryacką i dynastyą Habsburgów. Wspólna dola nasza i niedola".

List do cara, o trzy tygodnie późniejszy brzmi:



Metropolita Szeptycki w swem własnem oświetleniu: Metropolita lwowski. Andrzej Szeptycki, kandydat na patryarchę Wschodu.

Wasza Cesarska Mość!

Armia zwycięska Waszej Cesarskiej Mości zajęła Lwów i większą część Halicko Ruskiego Księstwa. Trzy milionowa ludność ruska Galicyi z radością wita żołnierza rosyjskiego, jako brata własnego. Najpokorniejszy, a tu podpisany pasterz tego ludu prawosławno katolicki Metropolita Halicki i Lwowski od lat szeregu, gotowy i pragnący codziennie życie swe ofiarować za pomyślność i zbawienie świętej Rusi i Waszej Cesarskiej Mości, rzuca do stóp Waszej Cesarskiej Mości swoje życzenia najserdeczniejsze i powitanie radosne z powodu połączenia pozostałych części Ziemi Rosyjskiej.

...Opatrzność Boska składa w ręce Wasze losy i szczęście Halicko Ruskiego narodu. Główny duszpasterz tego narodu oddaje w ręce Wasze opiekę nad nim i prosi dla niego o życzliwość, miłość i modły monarsze dla dobra jego i zbawienia wiecznego, którego najpokorniej podpisany arcybiskup dnia każdego gotów jest i pragnie złożyć życie swe i duszę na ołtarzu ofiarnym.

Waszej Cesarskiej Mości najpokorniejszy módlca

hr. *Andrzej Szeptycki.*
Metropolita Halicki i Lwowski.

Referując te dwa dokumenty carowi, ministerstwo Spraw Wewnętrznych taką od siebie dodało uwagę:

„Jeżeli zestawić całą działalność przeszłą metropolity Szeptyckiego, aż do usunięcia go z granic Galicyi — wraz z listem przytoczonym, a skierowanym do Jego Cesarskiej Mości — wtedy osobistość tego wychowanka Jezuitów przedstawi się nam w bardziej jeszcze jaskrawem świetle i da całkowitą możność zupełnie kategorycznie i bez omyłki odpowiedzieć na pytanie: kto on i jaka jego wartość".

Podpisał ten referat urzędnik pochodzący z Galicyi, Drahomirecki.

Kierujące sfery rzymskie powinny się zatem mieć na ostrożności gdyż ks. metropolita z równą łatwością, z jaką obiecuje Rzymowi swą pomoc przy połączeniu cerkwi prawosławnej z Rzymem, może coś podobnego uczynić i wobec przeciwnej strony, t. j. dążąc do zerwania Unii, a jednocząc się z prawosławiem.

Zmiana kierunku.

Dobrze znał usposobienie ludzkie autor przysłowia: „Kiedy trwoga, to do Boga". Znajduje ono zastosowanie w najrozmaitszych okolicznościach, a bardzo dosadnem stwierdzeniem jego prawdziwości są obecne stosunki w Rosyi sowieckiej, gdzie niedola i bieda przypomniały ludzkości o Panu Bogu i skierowały go tłumami do Jego świątyń, daleko liczniej, niż to było za czasów przedwojennych, gdy w obchodach religijnych brało udział wiecej ciekawych, niż nabożnych. I rząd sowiecki liczy się z tem usposobieniem ludności i nie przeszkadza



Zmiana kierunku: Procesya w Moskwie u stóp Kremlu, celem ubłagania odwrócenia od narodu widma głodowej śmierci.

raz, jak to bywało poprzednio w urządzaniu wszelkiego rodzaju nabożeństw, procesyi publicznych i td. Illustracya nasza przedstawia procesyę, urządzoną w Moskwie na uproszenie odwrócenia od narodu rosyjskiego widma głodowej śmierci, taki był bowiem jej cel, choć w głębi serca każdy z uczestników dodawał od siebie gorącą prośbę, aby jak najrychlej skończyły się i rządy bolszewickie.

Odważna staruszka.

Choć to jest pewnego rodzaju niedyskrecyą, trudno jednak nie zgodzić się na to, że znakomita artystka dramatyczna, Sara Bernhardt, przekroczyła już dawno Rubikon życiowy i znajduje się nie w jesieni nawet, lecz w okresie zimy swej doczesnej pielgrzymki. A jeśli życie nazywamy pielgrzymką, to na nazwę tę zasługuje w całej pełni żywot Sary Bernhardt, którą widzimy w ustawicznej podróży po obydwu półkulach świata. Mimo podeszły wiek, jak bowiem podają delikatnie dzienniki „przekroczyła już sześćdziesiątkę", znakomita artystka nie lęka się bynajmniej trudów podróży, znosząc je z podziwienia godną w tym wieku wytrzymałością. Dziś jeszcze podróż przez ocean to dla niej drobnostka, jak dla kogoś z młodszych przejście z ulicy na ulicę. Talent jej z wiekiem nie słabnie także, jest ona ciągle pierwszorzędną gwiazdą sceniczną, zbierającą laury tak w swej ojczyźnie, jak w Anglii, a przedewszystkiem w Ameryce, gdzie posiada



Odważna staruszka: Sara Bernhard, znakomita francuska artystka dramatyczna, podczas jednej z ostatnich swych podróży do Londynu.

szczególnie wielką liczbę entuzyastycznych wielbicieli, w których gonienie za interesem nie zdołało zabić poczucia piękna. Amerykańskie występy przynoszą jej nie tylko ciągle nowe tryumfy, ale przyczyniają się także do powiększenia jej fortuny.

Sara Bernhardt nie kieruje się w czasie swych podróży względami wygody jej zależy głównie na czasie, którego wartość umie widocznie ocenić. Gdy w roku ubiegłym wybrała się do Londynu, podróż z Paryża do Boulogne odbyła w samochodzie, drogę z Dovru do Londynu w ten sam sposób, mając jeszcze na tyle sił, aby tego jeszcze wieczoru wystąpić tamże i olśnić publiczność swą grą mistrzowską. Obecnie wybiera się znowu do Ameryki.

Korespondent londyńskiego „Timesa" doniósł swemu pismu pod datą 3 marca b. r., że Sara Bernhardt upoważniła go do ogłoszenia, iż przyjęła honorowe przewodnictwo wielkiej uroczystości kinematograficznej w Nowym Jorku, jaka się ma odbyć za kilka miesięcy i udaje się tam nieodwołalnie.

Gdy korespondent spytał artystkę, czy nie obawia się tej dalekiej podróży, Sara Bernhardt zawołała:

— Bać się! Przecież to bagatela.

Aby zaś dowieść, jak mało robi sobie z choroby (cierpiała właśnie na grypę) i z odległości, dodała: W niedzielę wyjeżdżam z Paryża, bo w poniedziałek mam wystąpić w Marsylii.

Hołd Francyi dla króla Edwarda VII.

W ubiegłym miesiącu odbyła się w znanej francuskiej miejscowości kąpielowej Biarritz, uroczystość odsłonięcia pomnika, wystawionego ku uczczeniu króla angielskiego, Edwarda VII., który bywał tam dość częstym gościem. Prasa francuska podkreśla przy tej sposobności z naciskiem uczucia przyjaźni, jakie zmarły władca Wielkiej Brytanii żywił wobec Francyi, ani może nie przypuszczając, że w niedługim czasie po jego śmierci armia angielska i francuska staną wspólnie do walki z wrogiem, dla obu równie groźnym. Uznaniem dla polityki, prowadzonej przez Edwarda VII. nacechowane były również przemówienia podczas ceremonii odsłonięcia pomnika, która w ten sposób stała się manifestacyą silnej łączności i serdecznego związku między obu zaprzysiężonemi państwami.



Hołd Francyi dla króla Edwarda VII.: Ambasador angielski lord Hardinge, wygłasza przemowienie podczas odsłonięcia pomnika króla Edwarda VII. w Biarritz.

Król Edward VII., którego złośliwie nazywano „królem mody", był bowiem elegantem, uważającym na najmniejsze drobnostki i w samej rzeczy nadawał ton modzie, zajmował się bardzo gorliwie sprawami i bacznie śledził bieg światowych wypadków, z wielką niechęcią spoglądając na rosnącą coraz bardziej w siłę potężną Germanię, choć na jej tronie zasiadał jego siostrzeniec. Zainicyowany przez niego kierunek polityki prowadzony był w dalszym ciągu i po jego śmierci, doprowadził też do wspólnego sojuszu Anglii z Francyą, a w rezultacie i do pogromu Niemiec. Ma zatem Francya zupełnie słuszne podstawy do uznawania Edwarda VII. za swojego przyjaciela, a akt hołdu pamięci jego, złożony przez miejscowość kąpielową Biarritz, był wyrazem uczuć ludności całego kraju.

Sama miejscowość Biarritz ma ś. p. królowi Edwardowi VII. również bardzo wiele do zawdzięczenia, spędzając w niej bowiem dłuższe okresy czasu, ściągał też za sobą całe mnóstwo przybyszów, uważających za zaszczyt dla siebie, że mogą używać świeżego powietrza wraz z władcą najpotężniejszego państwa, pędzącego tam życie zwykłego śmiertelnika i nie krępującego się bynajmniej względami dworskiej etykiety.

W odsłonięciu pomnika zmarłego króla Anglii, dłuta rzeźbiarza Waleryana Réal del Sarte, wziął z ramienia rządu francuskiego udział minister marynarki Raiberti, Anglię reprezentował ambasador lord Hardinge. Honorową asystencyę wojskową tworzył batalion piechoty i kompania marynarzy. Podczas odsłonięcia przemawiali mer z Biarritz, minister Raiberti, lord Hardinge, oddając hołd pamięci zmarłego króla, który zadzierzgnął serdeczne więzy między Francyą a Anglią, zaciśnięte jeszcze silniej w czasie ostatniej wojny światowej.

Pomnik Edwarda VII., wzniesiony na plaży w Biarritz, przedstawia dwie postacie niewieście, złączone uściskiem dłoni, a mające symbolizować *„Entente Cordiale"* Anglii i Francyi.

Ujęcie niebezpiecznego ptaszka.

Przy sposobności śledztwa w sprawie zuchwałego napadu bandyckiego na funkcyonaryuszy cementowni szczakowskiej, gdzie zrabowano 16 milionów marek, udało się władzom bezpieczeństwa dostać w swe ręce niebezpieczne indywiduum, na którem ciąży podejrzenie, że, jeśli nie był inicyatorem, to w każdym razie brał czynny udział w tej sprawie. Jest nim niejaki Lucyan Adam Fudalski, z zawodu pomocnik fryzyerski, pochodzący z Dąbrowy Górniczej, ostatnio zamieszkały w Będzinie. Przeszłość ma bardzo burzliwą, jeszcze w przedwojennych czasach za napady bandyckie skazany został na 15 lat ciężkich robót na Syberyi, skąd zbiegł przed rokiem i przybył w rodzinne strony, gdzie żadną pracą się nie trudnił, a żył bardzo dostatnio. W chwili aresztowania znaleziono przy nim przeszło milion marek. Ponieważ na Fudalskim ciążą liczne podejrzenia, niebezpiecznego ptaszka przewieziono do Krakowa, gdzie toczy się przeciw niemu śledztwo.



Ujęcie niebezpiecznego ptaszka. Bandyta Fudalski, jeden z uczestników napadu na cementownię w Szczakowie.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.

Ułożyła P. Furnatowska, Wilno.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda nazwę uroczystości, przerywającej smutki wielkopostne.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Wielkopolsce, 2. Duchowny muzułmański, 3. Strój rzymski, 4. Litera grecka, 5. Egzotyczny przeżuwacz, 6. Morski ssak.

Kwadrat magiczny.

Ułożył J, Wieczyński, Zakopane.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a k k m
m o o r
r r t t

Znaczenie wyrazów: 1. Popularny utwór Konopnickiej, 2. Jeden z kalifów, 3. Nowoczesny przyrząd wojenny, 4. Biblijny statek.

Logogryf.

Ułożył L. Policzyński, Rembertów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Litery, stojące w miejscu kwadratów, czytane w kierunku pionowym i poziomym złożą imię i nazwisko zmarłej niedawno powieściopisarki polskiej.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Rzeczypospolitej Polskiej, 3. Miasto w Rosyi 4 Trawa suszona, używana w Hiszpanii na opał, 5. Lud staro-italski, szczepu umbryjsko-sabelskiego, 6 Imię i nazwisko jednego z królów polskich, 7. Bohater i bohaterka jednej z powieści Sienkiewicza, 8. Imię i nazwisko zmarłej niedawno powieściopisarki polskiej, 9. Pierwsza litera imienia i nazwisko powieściopisarza polskiego 10 Bohater jednej z powieści Heleny Mniszek, 11. Zjawisko w przyrodzie, 12. Inaczej gazon, 13. Przyrząd do chwytania koni używany w Ameryce, 14. Rodzaj łyżw, 15. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) A. Gruszeckiego „Pod Czerwonym Wirchem" (powieść); 2) Kalendarz kieszonkowy z notatnikiem na rok 1922.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 11.

Logogryf: P, San, p, gil, lew, rożen, rabin, Kreta, rynek, kreda, Radek, Styka, warkocz, S. Batory.

Trójkąt magiczny. Karnawał, Ameryka, Rawicz, Nisko Aron, wąż, ar, ł.

REBUS: Pierogi ze serem i kartoflami doskonała to potrawa dla dzieci.

Kwadrat magiczny: Pola, mila, kruk, Atos.

Szarada. Pierogi.

Przysłowiówka. Gdy w Gromnicę z dachu ciecze, zima pewno się przewlecze.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: B. Wagner Warszawa, M. Skórkowa Kraków, L. Moniszewski Warszawa, J. Kalinowski Poznań, S. Węgrzyn Kraków, S. Górska Warszawa, M, Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, Z. Sokolnicka Warszawa, B. Szypulska Wieliczka, W. Nowotarska Jarosław, J Cercha Miechów, W. Ostrowski Płock, M. Kubicówna Kraków. S. Zakrzewski Sandomierz, K. Dębicki Sambor, S. Kozik Piotrków, M. Drohocki Warszawa, J. Benedyktowicz Kraków, H. Rakowiecka Warszawa, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, H. Boratyńska Poznań, M. Planecka Kraków, S. Grabowski Wadowice, M. Stachowicz Kraków, P. Lachmanówna Lwów, W. Smiszkiewicz Milówka, W. Komperdowa Lwów, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) B. Wagner Warszawa (kalendarz); 2) W. Ostrowski Płock (książka). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 25 mk.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego